



3 kwietnia 2025

NR 78 (18169)

Sport



0:5

85:20

RUCH
NA
SLĄSKIM



Horror

z bajki



Sensacji jednak nie było. Była klęska

Otoczka wyjątkowości nie zmieniła szarej rzeczywistości – Legia przyjechała do Chorzowa jak po swoje i zrobiła swoje. Awansowała do finału Pucharu Polski, deklasując Ruch na Stadionie Śląskim.

Odważ się robić wielkie rzeczy – brzmiało hasło na ogromnym transparencie, który widzieli piłkarze, wychodząc na murawę Stadionu Śląskiego. Skierowane do chorzowian miało im dodać odwagi i pewności siebie w trudnym mentalnym momencie, który przechodzą, ale nadzieje prysnęły szybko. Legia wyszła na prowadzenie już w 5 minucie. Jehor Cykało stracił piłkę w środku pola, Bartosz Kapustka podał do Kacpra Chodyny, a ten dopełnił formalności.

Szukał dubletu

„Wojskowi” wyszli w najmocniejszym składzie, uzupełnionym jedynie o obowiązkowego młodzieżowca Wojciecha Urbańskiego. Trochę bardziej zaskoczył zestawieniem taktycznym trener Dawid Szulczek w Ruchu, co miało głównie związek z absencjami Martina Konczkowskiego i Denisa Ventury – stąd hybrydowe ustawienie w obronie i niespodziewana obecność Łukasza Monety (byłego gracza Legii) w wyjściowym zestawieniu.

„Niebiescy” mimo falkstartu nie schowali głów w piasek, tym bardziej że zmotywowana ekipa ze stolicy – dla której Puchar



Po raz kolejny na przestrzeni kilku tygodni Ruch zebrał na Stadionie Śląskim lanie 0:5.

Polski to prawdopodobnie ostatnia furtka do europejskich pucharów – nieco zwolniła. Chorzowianie kilkukrotnie wychodzili z szybkimi atakami, ale obrońcy Legii radzili sobie dobrze. W odpowiedzi do okazji - podobnej jak bramkowa - doszedł Chodyna, tym razem wyraźnie chybając, a w 18 minucie po trąceniu przez niego futbolówki z linii bramkowej wybił ją Szymon Karasiński. Przewaga jakościowa po stronie ekstraklasowicza była wyraźna.

Kolejna strata

Goście mieli przewagę w posiadaniu piłki, ale krzywdę Ruchowi zrobili nie przez skuteczną akcję, ale... wykorzystując kolejną strategię gospodarzy. W 28 min Mo Mezghrani i Cykało przeszkodzili sobie, znowu stracili piłkę, którą tym razem z lewej strony dostał Marc Gual, oddając uderzenie będące lustrzanym odbiciem tego Chodyny – i było 2:0. Legia grała z dużym spokojem i w późniejszych minutach pierwszej połowy świadomie oddała inicjatywę Ruchowi. Ten kilka razy pograł nieźle piłką, przyspieszył, poszukał dośrodkowań, ale sytuacje, jakie wykreował, dalekie były od stuprocentowych. Przykładem dwa strzały z dystansu Mezghraniego czy nieczysty wolej Daniela Szczepana. Gdy „Wojskowi” odpowiadali, siali mnożstwo zamętu w polu karnym chorzowian, ale

na własne życzenie nie potrafili tego sfinalizować.

Na początku drugiej połowy Legia szybko zyskała przewagę. Kilkukrotnie gościła w polu karnym pierwszoligowca, piłka przecinała jego obręb z różnych stron, aż w 56 minucie z ostrego kąta efektywnym trafieniem na 3:0 popisał się Paweł Wszolek.

Nie Dawid, nie Goliat

Jeśli ktoś miał jeszcze wątpliwości, to wtedy chyba już nawet ostatni optymiści uświadomili sobie, że jest po meczu. „Niebiescy” częściej zaczęli meldować się na połowie warszawianów (nie mylić z polem karnym), ale tylko dlatego, że ci już nic nie musieli i pozwalali im na to. Systemowo gospodarze nie potrafili niczym przeciwstawić się gościom, wrzucić ich na „karuzelę”, choć przez chwilę postawić pod ścianą. W 79 min Legia z kolei strzeliła na 4:0 za sprawą

Ruch Chorzów - Legia Warszawa	
0:5 (0:2)	
0:1 – Chodyna, 5 min, 0:2 – Gual, 28 min, 0:3 – Wszolek, 56 min, 0:4 – Morishita, 79 min, 0:5 – Szkurin, 84 min (głową)	
RUCH: Turk – Sz. Szymański, Lukić, Karasiński – Mezghrani, Cykało (57. Starzyński), Szwoch, Preisler (84. Sobeczko) – Borowski (57. Kozak), Szczepan (63. Novothny), Moneta (63. Barański). Trener Dawid SZULCZEK.	LEGIA: Tobiasz – Wszolek, Pankov, Kapuadi (46. Ziółkowski), Vinagre (78. Kun) – Kapustka (66. Luquinhas), Elitim, Urbański (46. Augustyniak) – Chodyna, Gual (56. Szkurin), Morishita. Trener Goncalo FEIO.
Sędziował Damian Sylwestrzak (Wrocław). Widzów 25 496. Żółte kartki: Borowski, Sz. Szymański, Mezghrani – Kapuadi, Pankov.	

GŁOS TRENERÓW

■ **Goncalo FEIO:** Czuję zadowolenie i dumę z wykonanej pracy. Wiem, że patrząc po wyniku, może się wydawać, że był to łatwy mecz, ale takich meczów nie ma. Wynik jest skutkiem wykonanej pracy. W szatni pogratulowałem moim zawodnikom poważnego występu, zarządzania meczem i skromności, którą muszą mieć zwycięzcy. Graliśmy z zespołem, który ma atuty i który zawsze jest dobrze przygotowany przez trenera Dawida Szulczka. Momentami musieliśmy te atuty neutralizować, co najlepsze drużyny potrafią robić. Przed nami jeszcze ostatni krok w tych rozgrywkach.

■ **Dawid SZULCZEK:** Legia była dużo lepszą drużyną. Ułatwiliśmy jej trochę sprawę, mimo że mocno się na ten mecz mobilizowaliśmy. Na początku przytrafiło się niefortunne zdarzenie. Jehor Cykało praktycznie wpadł na sędziego, stracił piłkę, a chwilę później było kolejne nieporozumienie, Legia znowu odzyskała piłkę... Za łatwo straciliśmy bramki. Nie udało nam się wrócić do tego meczu. W kolejnych spotkaniach musimy strzelić pierwszego gola, napędzić się, bo tego nam brakuje.

CZY WIESZ, ŻE...

■ Po wczorajszym spotkaniu Ruch stał się rywalem, z którym Legia mierzyła się najczęściej w historii – bo aż 175 razy. Warszawiacy zwyciężyli 74 spotkania, przegrali 53, a remisów było 48. Wczorajszy mecz był też 18. starciem tych klubów w Pucharze Polski. Również dla Ruchu Legia jest najczęstszym rywalem.

Piotr Tubacki

OCALIĆ GRÓB WILIMOWSKIEGO

■ Legendarny napastnik Ruchu Ernest Wilimowski jest pochowany na cmentarzu w niemieckim Karlsruhe. Władze miasta postanowiły jednak przeznaczyć tamtą część nekropolii na inne cele, w związku z czym grób

może zostać zlikwidowany. Chorzowska społeczność nie chce do tego dopuścić, dlatego rozpoczęła zbiórkę na ekshumację i przeniesienie grobu w inne miejsce. Koszt takiego działania to 20 tys. euro, czyli ok. 100 tys. złotych.

Musieliśmy to pokazać

Rozmowa z **Janem Ziółkowskim**, obrońcą Legii Warszawa



Wygrwanie 5:0, awansujecie do finału Pucharu Polski. Plan zrealizowany na maks?

– Wykonaliśmy swoją robotę na 120 procent. Byliśmy dużo lepsi od Ruchu. Chcieliśmy pokazać, że jesteśmy zespołem ekstraklasy, który gra w europejskich pucharach, a mierzyliśmy się z zespołem pierwszoligowym.

Oczywiście, nie można mu umniejszać, ale po prostu zrobiliśmy swoje.

Czyli było łatwo?

– Nie było łatwo, ale zrobiliśmy to, co do nas należy. Takie mecze nie są łatwe, ale grając w tym klubie jesteśmy faworytem i musimy to pokazywać na boisku.

Spodziewaliście się po Ruchu czegoś więcej?

– Skupiamy się tylko na naszym występie, a nie na tym, czy rywal może zrobić coś więcej. Doszli do półfinału, więc nie można było ich lekceważyć. Skoncentrowaliśmy się na sobie, zagraliśmy bardzo dobrze i wygraliśmy 5:0.

Po waszym cięższym okresie było w tym spotkaniu wiele pozytywnych, z których możecie

się cieszyć. Odetchnęliście?

– Cieszymy się, że Ilja Szkurin zdobył swoją pierwszą bramkę i że inni chłopacy też znajdowali się w sytuacjach i strzelali gole. Dołożyli swoją cegiełkę. Nie chciałybyśmy, żeby to zabrzmiało, że czegoś takiego od nas oczekiwano. Przed spotkaniem każdy ma równe szanse. Oczywiście, byliśmy faworytem, ale to nie

jest tak, że jest łatwo, bo trzeba zrobić swoją robotę. Teraz skupiamy się tylko na finale, aby go wygrać w dobrym stylu.

Z Ruchem wszedłeś w przerwie. A czy ogólnie jesteś zadowolony z liczby minut na boisku, które otrzymujesz?

– Głód gry jest zawsze, ale muszę zapracować na swoje minuty. Każdy piłkarz

chce grać wszystko w każdym meczu, ale trzeba też docenić kolegów, którzy wybiegają na boisko. Ci, którzy grają na mojej pozycji (Kapuadi i Pankov – przyp. red.), to według mnie najlepsi środkowi obrońcy ligi. Chciałbym mieć więcej minut, ale powoli, po swojemu i mam nadzieję, że będę stał się coraz ważniejszą postacią w tym zespole.

Rozmawiał Piotr Tubacki

Mistrz z Superpucharem

Wisła była lepsza, ale to Jagiellonia ma kolejne trofeum. O jej sukcesie zdecydowała jedna bramka.

Na pustym PGE Narodowym, gdzie zabrakło bojkotujących finałowy mecz kibiców Jagiellonii, pierwszoligowiec z Krakowa zaczął bez respektu i już po kilku minutach dobrą szansę miał Łukasz Zwoliński. Po składnej akcji uderzył celnie, ale Sławomir Abramowicz sparował piłkę.

Trafił były „Wiślak”

Chwilę później z wolnego celnie przymierzył Nigeryjczyk James Igbekeme, ale ponownie dobrze interweniował gołkiper „Jagi”. Potem dwa razy strzelał aktywny od początku Olivier Sukiennicki, ale też bez efektu. Ekipa mistrza Polski w pierwszych kilkunastu minutach znalazła się pod ostrym ostrzałem.

Nie minął kwadrans, a oglądaliśmy gola. Piłka wpadła jednak nie do bramki mistrzów Polski, ale krakowian. Najpierw świetnym zwodem i strzałem popisał się Darko Churlinov. 19-letni Patryk Letkiewicz odbił futbolówkę na słupek, ale wobec dobitki byłego



Mateusz Skrzypczak (z lewej) kolejnymi dobrymi interwencjami powstrzymywał piłkarzy Wisły. Tutaj w starciu z Łukaszem Zwolińskim.

„Wiślaka” Miki Villara był już bezradny.

Po stracie gola Wisła dalej starała się grać swoje. Utrzymywała się przy piłce, ale efektem głównie były rzuty różne – pół tuzina w pierwszych dwóch kwadransach. Po mocno bitych piłkach główkowe szanse mieli Zwoliński i przede wszystkim Wiktor Biedrzycki, ale wyrównującego trafienia jednak nie było. Drużyna trenera Adriana Siemienia była wycofana, szukając okazji w kontrataku. Mecz nie wyglądał jak stracie mistrza i ćwierćfinalisty Ligi Konferencji z drużyną z niższej ligi. W 37 minucie znakomita interwencja Abramowicza. Bramkarz białostoczan znakomitą robinsonadą wybił piłkę zmierzającą do siatki po strzale głową Frederico Duarte.

Po przerwie kolejna sytuacja „Białej Gwiazdy” po uderzeniu głową. Tym razem próbował kapitan Alan Uryga, ale piłka przeleciała nad poprzeczką. Zza pola karnego strzelał też jeden z najlepszych na murawie Sukiennicki, ale znowu

świetnie spisał się Abramowicz, parując futbolówkę. Wisła grała, zasługiwała na wyrównującego gola, a Jagiellonia była cofnięta.

Strzał za strzałem

Przed upływem godziny – kolejna znakomita akcja Sukiennickiego, który łatwo wymanewrował rywala i dobrze zagrał do Rafała Mikulca. Ten jednak przestrzelił. Krakowianie robili co mogli, żeby wyrównać. Po ponad godzinie gry mieli już na koncie ponad 20 strzałów, ale tylko cztery z nich były celne, a poza tym zaporą nie do przejścia był Abramowicz, który rozgrywał kolejny bardzo dobry mecz. W 64 minucie groźnie z wolnego uderzył rezerwowi Kacper Duda, piłka wyśladowała jednak na bocznej siatce. Pięć minut później wydawało się, że gol musi już paść. Tym razem bramkarz „Jagi” pomylił się wybiegając z bramki, Zwoliński go minął, ale kiedy oddawał strzał, to nagle pojawił się przed nim Mateusz Skrzypczak i znakomitą wślizgiem zażegnał niebezpieczeństwo. Reprezentan-

ta Polski w akcji oglądał obecny na meczu selekcjoner Michał Probiez.

W końcu nie już się nie zmieniło. Choć zdobywca Pucharu Polski oddał dwa razy więcej strzałów na bramkę niż rywal, to jednak gola nie zdobył. W tej sytuacji po raz drugi w historii Superpuchar Polski zdobyła „Duma Podlasia”. Wcześniej uczyniła to w 2010 roku, kiedy trenerem był Michał Probiez.

Michał Zichlarz

FINAL SUPERPUCHARU POLSKI

Jagiellonia Białystok – Wisła Kraków 1:0 (1:0)

1:0 – Villar, 14 min

JAGIELLONIA: Abramowicz – Wojtuszek, Skrzypczak, Ebose, Moutinho – Flach (66. Kubicki), Romanczuk, Imaz – Villar (77. Pietuszwski), Pulu (77. Fadiga), Churlinov (66. Hansen). Trener Adrian SIEMIENIEC.

WISŁA: Letkiewicz – Jaroch, Biedrzycki, Uryga, Mikulec – Baena (58. Kiss), Igbekeme (80. Carbo), Poletanović (58. Duda), Sukiennicki (73. Alfa-ro), Duarte (80. Kuziemka) – Zwoliński. Trener Mariusz JOP.

Sędziował Jarosław Przybył (Kluczbork). **Widzów** 10 935. **Żółte kartki:** Ebose, Imaz, Fadiga – Duarte.

Przyszłość trenera wciąż zagadką

Nie będę się odnosił do komentarzy w mediach. Dalej rozmawiamy na temat przedłużenia kontraktu w Zabrzu – mówi nam Jan Urban.

GÓRNIK ZABRZE

P przedłuża się kwestia przedłużenia umowy z Janem Urbanem. W pierwszej części rozgrywek nikomu się nie spieszyło z podjęciem z nim rozmów, a jego kontrakt obowiązuje do czerwca 2025 roku.

W końcu obie strony usiadły naprzeciwko siebie przed rozpoczęciem ligowych rozgrywek, czyli pod koniec stycznia. Mamy kwiecień, a konkretnie dalej nie ma. Trochę przypomina to sytuację sprzed czterech lat, kiedy „Górników” prowadził Marcin Brosz. Pobił zresztą wtedy rekord w ciągłości pracy z drużyną, który od lat 50. dzierżył Gerard Wodarczyk. Ten był znakomity przedwojenny reprezentant Polski i legenda Ruchu prowadził Górnika jeszcze

na niższym szczeblu rozgrywkowym, przed awansem do ekstraklasy. Brosz pracował w Zabrzu przez bite 5 lat.

Na celowniku Legii

Z przedłużeniem umowy z Broszem też zwlekano, zwlekano, aż w końcu jego miejsce zajął... Jan Urban. Było to za czasów prezesury Dariusza Czernika. Od 2021 roku – z przerwą w okresie czerwiec 2022 – marzec 2023, kiedy klubem zawiadywał Bartosch Gaul – szkoleniowcem jest Jan Urban.

W ostatnich dniach, po tym jak nowym dyrektorem sportowym Legii został Michał Żewłakow, gruchnęło, że doświadczony trener w nowym sezonie ma poprowadzić właśnie warszawski klub! Miałby zastąpić Goncalo Feio. Trener Urban ma już być nawet po słowie z klubem, w którym pracował już dwa razy i z którym osiągał spore sukcesy, bo dwa razy mistrzostwo Polski i dwa Puchary Polski, a do tego także Superpuchar.

U źródła sprawdziliśmy jak się sprawy mają. – Nie chcę komentować tego, co

dzieje się w mediach. Widzimy jaka jest sytuacja, jest koniec sezonu, sporo się dzieje. „Aco” Vuković zapowiedział, że nie będzie pracował już w Piaście, są inne zmiany. W tym momencie trzeba skupić się na kolejnym meczu i na finiszu rozgrywek – uważa trener Górnika.

Biletów już nie ma

Dalej prowadzi rozmowy na temat ewentualnego przedłużenia umowy z górniczym klubem. Podkreśla, że nawet w tym tygodniu mogą być znane konkretne. Jeśli ostateczne decyzje nie zapadną, to im bliżej będzie do końca rozgrywek, tym spekulacji na temat odejścia Jana Urbana będzie coraz więcej.

Na razie w Zabrzu koncentrują się na tym, co będzie się działo w niedzielne popołudnie na Stadionie im. Ernesta Pohla, gdzie gościć będzie przecież właśnie Legia. Biletów na to spotkanie dawno już nie ma, czeka nas komplet na widowni i gorąca atmosfera. Tym bardziej że oba zespoły wiosną nie spisują się za dobrze. W tabeli drugiej części rozgrywek „Górnicy”

112

WTYLU
ligowych i pucharowych
grach prowadził Górnika
Zabrze Jan Urban.

171

WTYLU
meczach we wszystkich rozgrywkach Jan Urban prowadził Legię. To 91 meczów w okresie czerwiec 2007 – marzec 2010, a następnie 80 gier od końca maja 2012 do grudnia 2013. Za drugim razem stracił pracę po porażce w Pucharze Polski z Górnikiem w Zabrzu 1:3.

są na dalekim, 12. miejscu z 10 zdobytymi punktami. Po wygranych z Lechią i Motorem wydawało się, że drużyna wskoczy na wyższy bieg, ale przyszła porażka w derbach z GieKSą w niedzielę. Legia w wiosennym zestawieniu jest jeszcze niżej, bo ledwie 14. (!) z 9 pkt. Tylko Widzew, Puszcza oraz będące na spadkowych miejscach



Jan Urban na brak propozycji pracy nie narzeka.

Zagłębie i Stal są gorsze od „Wojskowych”. W tej sytuacji nie dziwi, że szefowie klubu ze stolicy rozglądają się za nowym szkoleniowcem.

Pamiętny mecz

Trenera Jana Urbana pytamy o jego wspomnienia w rywalizacji z Legią. Takich meczów było sporo. W drugiej połowie lat 80., kiedy Górnik podobnie – jak dwie dekady wcześniej – trząsł ligą, starcia z legionistami elektryzowały kibiców w całej Polsce. – Taki najbardziej pamiętny dla mnie mecz, to rywalizacja pod koniec rozgrywek w 1986 roku. To było bodajże na trzy ko-

lejki przed końcem, graliśmy z Legią w Zabrzu, wygraliśmy 3:0, a ja dwa razy pokonałem bramkarza. To zdecydowało na koniec o naszym tytule – wspomina Jan Urban.

W tamtym spotkaniu przy голу na 2:0 zdobytym głową asystował Waldemar Matysik, który wyłożył wtedy z gry Dariusza Dziekanowskiego. Przy bramce pieczętującej wygraną podawał Andrzej Pałasz. Wcześniej Jacka Kazimierskiego w pierwszej połowie pokonał Marek Majka. To spotkanie rozegrano 12 kwietnia 1986 roku. Czy podobnie będzie w niedzielę?

Michał Zichlarz

Solidność i doświadczenie

Gdy Dawid Kudła strzeże bramki, katowiczanie nie mają powodów do obaw.

GKS KATOWICE

Jednym z bohaterów niedzielnego starcia GKS-u z Górnikiem był Dawid Kudła. Bramkarz katowickiego zespołu świetnie spisywał się między słupkami, wiele razy ratując drużynę przed utratą gola. Jego rola szczególnie ważna była w drugiej połowie. Wówczas zabranie ze wszystkich sił starali się zdobyć bramkę, często byli wręcz o włos od niej. Udało im się to jednak tylko raz, w pozostałych przypadkach Kudła był nie do pokonania. Udowodnił, zresztą nie po raz pierwszy, że jest odpowiednią osobą na odpowiednim miejscu. Dał katowiczantom szansę, by w ostatnich minutach mogli strzelić gola na wagę zwycięstwa.

Po meczu zachowywał jednak skromność, zaznaczając siłę całej katowickiej ekipy. – Jestem dumny z zespołu. Uniesienie ciężaru tego spotkania nie



Od prawie czterech lat Dawid Kudła jest „jedyneką” GieKSy.

było łatwe, bo wiedzieliśmy, od jak dawna Katowice żyły tym, że otwierany jest nowy stadion. Świetnie wyszło, że wygraliśmy. Szacunek dla sztabu, drużyny i kibiców. Udźwignęliśmy ten ciężar i wygraliśmy – powiedział po ostatnim gwizdku szczęśliwy 33-latek.

Dla niego mecz był szczególny. Jest on wychowankiem Górnika Zabrze i po raz pierwszy wygrał ze swoim dawnym zespołem. Wcześniej miał okazję mierzyć się z zespołem z Zabrze, gdy grał w Zagłębiu Sosnowiec, Pogoni Szczecin, a także już jako piłkarz GieKSy, ale dopiero teraz, w niedzielę, po raz pierwszy zdobył trzy punkty w starciu z Górnikiem. – Był to wyjątkowy mecz. Spotkania przeciwko Górnikowi zawsze są bliskie mojemu sercu. Fajnie, że pokazałem się z dobrej strony – przekazał golkeeper.

W tym sezonie Kudła zagrał w każdej dotych-

czasowej kolejce ekstraklasy, w każdym spotkaniu 90 minut. Jest jednym z siedmiu zawodników w lidze, który nie zszedł z boiska nawet na minutę (w tym zestawieniu jedynym piłkarzem, który nie jest bramkarzem, jest Arkadiusz Jędrzych, defensor GieKSy). W 26 spotkaniach ośmiokrotnie zachowywał czyste konto. Pod tym względem jest szóstym najlepszym bramkarzem na najwyższym szczeblu rozgrywkowym. Wydaje się, że to spore osiągnięcie, biorąc pod uwagę fakt, że GKS jest przecież beniaminkiem.

Do GKS-u latem dołączył Rafał Strączek, były bramkarz Stali Mielec, który do Katowic przeniósł się z Bordeaux. 26-latek nie może jednak liczyć na minuty na boisku, gdy między słupkami znajduje się tak solidny, doświadczony bramkarz, jak Kudła. Strączek w tym sezonie zagrał tylko w dwóch meczach Pucharu Polski.

Kacper Janoszka

KOMENTARZ „SPORTU”

Właśnie dlatego kochamy futbol

Kacper Janoszka



Mecz otwarcia przy Nowej Bukowej odbył się w niedzielę. Mieliśmy więc sporo czasu na wyciszenie emocji, na zrozumienie tego, co właściwie się wydarzyło w Katowicach. Jednak emocje cały czas we mnie buzują i powodują, że co chwilę przypominam sobie migawki z wydarzenia, które sprawiły, że był to naprawdę wyjątkowy mecz. Bo czy ktokolwiek mógł wymyślić lepszy dla społeczności GKS-u Katowice scenariusz od zwycięstwa w dniu otwarcia, po bramce strzelonej w 11 minucie doliczonego czasu?!

To spotkanie pokazuje, o co tak naprawdę chodzi w piłce nożnej. Chodzi o radość, złość, uśmiech, płacz, wruszenie i nerwy. Chodzi o smutek, dumę, zaskoczenie, zażenowanie, ale też o miłość i rozpacz. Wszystkie te emocje związane są z futbolem, z pasją i z zaangażowaniem. Papież Jan Paweł II mówił kiedyś o piłce nożnej jasno: ze wszystkich rzeczy najważniejszych, ona jest najważniejsza. Te słowa znajdują odzwierciedlenie w niedzielnym starciu GKS-u z Górnikiem. Dla niektórych z nas był to zwykły ligowy mecz, ale dla wielu było to święto, wręcz jeden z najważniejszych dni w ich futbolowym życiu.

Nie chodzi mi bynajmniej tylko o kibiców GKS-u Katowice. Choć skoro we mnie ten mecz siedzi już od kilku dni, nie jestem sobie w sta-

nie wyobrazić, co czują właśnie sympatycy GieKSy. Oni w ostatnim czasie przeżyli same emocjonalne chwile. Jubileusz 60-lecia klubu, awans do ekstraklasy, pierwsze mecze na najwyższym szczeblu rozgrywkowym, śmierć Jana Furtoka, ostatni mecz przy starej Bukowej i w końcu zwieńczenie tego rollercoastera, na którym znaleźli się katowiccy fani: spotkanie z Górnikiem na nowej arenie. To, z czym musieli zmierzyć się kibice GieKSy, dobrze obrazuje krótki filmik na TikToku, który został opublikowany w pierwszej połowie marca, po ostatnim meczu przy starej Bukowej. W materiale wideo widać sympatyka GieKSy, który ze wzruszenia nie jest w stanie wypowiedzieć choćby słowa, gdy stara się opowiedzieć o tym, ile lat spędził na kibicowaniu swojemu ukochanemu klubowi. Łzy płyną mu z oczu, zapierając dech w piersiach, paraliżując struny głosowe.

Było to jednak wydarzenie, które przeżyli także ci, którzy aktywnie brali w nim udział, biegając po murawie. Piłkarzom GKS-u nie schodził uśmiech z twarzy po ostatnim gwizdku. W ich oczach widziałem jednak nie tylko szczęście ze zdobytych trzech punktów. Widziałem wręcz wzruszenie, doskonale rozumieli, w jak podniosłej chwili uczestniczą. Kapitan GieKSy Arkadiusz Jędrzych powiedział, że to, co się wydarzyło, tak naprawdę

dotrze do niego dopiero po kilku dniach. Ciekawe, co przeżywa teraz, skoro już wówczas widziałem w nim ogromną dumę z tego, co osiągnęła drużyna. Jędrzych z klubem związany jest od lat. W GKS-ie wielu z pracowników, ale także piłkarzy, kolegów z drużyny, nie mówi do stopera per „Arek”, a właśnie „kapitan”.

Mecz poruszył jednak także tych, którzy w Katowicach są stosunkowo niedługo. Borja Galan, Hiszpan, który na Górny Śląsk przeniósł się zeszłego lata, schodził do szatni wręcz uniesiony radością. Choć zazwyczaj jest szczerze uśmiechnięty po zwycięstwach, w takiej euforii jeszcze go nie widziałem. Patrząc na niego, zromencjonalizacja w takich chwilach komercjalizacja futbolu, pieniądze, które się w nim znajdują, przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie. Każdy z tych piłkarzy, który w niedzielę wybiegł na boisko, niezależnie od tego, jak długi jest jego staż w klubie, zaczynał swoją przygodę z futbolem wczajnie kochając tę dyscyplinę. Początkowo była to jedynie (a może aż?) pasja, a nie praca. Nikt z tych zawodników, którzy w niedzielę wyszli na boisko, nie był w stanie w dzieciństwie przewidzieć tego, że w pewnym momencie stanie się profesjonalnym piłkarzem. Nikt tym bardziej nie mógł wywróżyć, że którykolwiek z nich zagra w meczu otwarcia nowego stadionu GKS-u Katowice. To mogło być jedynie w sferze marzeń.

Dlatego sądzę – a moje przypuszczenie graniczy z pewnością – że każdy z nich po wygranej z Górnikiem przypomniał sobie, jak jeszcze kilkanaście (a w niektórych przypadkach kilkadziesiąt) lat temu zaczął kopać piłkę ze znajomymi, jak biegał za futbolówką i właściwie nic innego dla niego się nie liczyło. Bo - to truizm, ale przypomnę - u podstaw piłki nożnej nie leżą bynajmniej ogromne pieniądze, których na najwyższym poziomie nie brakuje, a czysta niczym woda z górskiego źródła pasja. O wzięciu udziału w tego typu meczu, którego świadkami byliśmy w niedzielę, marzył każdy z zawodników, który wybiegł na stadion przy Nowej Bukowej. Dla właśnie takich chwil ci ludzie zaczęli grać w piłkę.

Każdy z nas, biorąc udział w takim wydarzeniu, niezależnie od sympatii kibicowskich, w takich chwilach przypomina sobie swój pierwszy mecz na trybunach. W głowie pojawiają nam się obrazki, gdy strzelamy pierwsze bramki na boisku szkolnym. Rozmýślamy o pierwszych wygranych i przegranych w trampkarzach. Przypominamy sobie momenty smutku i szczęścia, które zagwarantowała nam piłka nożna. Te wszystkie emocje towarzyszyły nam w życiu dzięki temu, że kilka razy kopnęliśmy piłkę i zrozumieliśmy piękno tej dyscypliny.

Trener Rafał Górak, który w niedzielę obchodził 52. urodziny,

opowiadał podczas konferencji prasowej o duchach starej Bukowej, które wspomogły piłkarzy w meczu otwarcia nowego obiektu. Mówił o tym, jak rozmawiał ze starym stadionem. Dla tych, którzy nie rozumieją istoty futbolu, słowa te mogły wydawać się dziwaczne. Ktoś mógłby pomyśleć, że szkoleniowiec GieKSy stracił kontakt z rzeczywistością. Jakże duchy? Jakże rozmowy ze stadionem? Cóż, prawda jest taka, że tymi słowami Rafał Górak doskonale przekazał istotę piłki nożnej. Futbol roztacza tak magiczną aurę, że przywiązujemy się nie tylko do ulubionych zawodników, czy klubów. Przywiązujemy się do swojego miejsca na trybunach, do stadionowy, czy wręcz do skrawka murawy. Każdy szczegół ma znaczenie! To też jest oznaka niezwykłej pasji. Pokazałem mojej koleżance, która futbolem się na co dzień nie interesuje, wycinek z konferencji prasowej, w którym trener Górak opowiada właśnie o „duchach”. Pomimo tego, że nie żyje w piłkarskim świecie, wzruszyła się, bo zrozumiała, że żeby w taki sposób podchodzić do piłki nożnej, w taki sposób o niej opowiadać, trzeba mieć w sobie ogromną miłość do tego, co się robi.

Właśnie takich chwil, które będą przypominać nam o tym, że kochamy futbol, życzę nam wszystkim jak najwięcej.

Drugi wjazd na Narodowy

Fot. Krzysztof Porębski/PresFocus

Linus Wahlqvist (u góry, w ramionach Rafała Kurzawy) dotożył dużą cegielkę do wygranej Pogoni w Niepołomicach.

Trener „Portowców” Robert Kolendowicz twierdzi, że dla jego drużyny „ten biznes jeszcze się nie skończył”.

POGOŃ SZCZECIN

W wtorek na kameralnym stadionie w Niepołomicach, który nie ma sektora gości, pojawiła się grupa sympatyków „Dumy Pomorza”. Stało się tak dzięki uprzejmości gospodarzy. Miejsca udostępnili im działacze i kibice Puszczy. Taką decyzję podjęli też wcześniej w przypadku Piasta Gliwice podczas ligowego spotkania. Grupa kibiców Pogoni liczyła około 200 osób. Mecz swojej drużyny z trybun obserwował nowy prezes Granatowo-bordowych Alex Haditaghi, któremu towarzyszyli wiceprezes Tan Kesler oraz Mariusz Mowlik. Ten ostatni pośredniczył w transakcji przejęcia klubu ze Szczecina od Jarosława Mroczka. Dodatkowym bodźcem dla podopiecznych trenera Roberta Kolendowicza była wypłata zaległych pensji. W przeddzień meczu z Puszczą na ich konta trafiło w sumie 9 milionów złotych!

Metoda małych kroków

- Po tym, co wydarzyło się rok temu (Pogoń przegrała w finale z Wisłą Kraków przyp. red.), chcieliśmy powtórzyć w tym sezonie awans do finału PP - powiedział trener Robert Kolendowicz. - Dla nas ten biznes się jeszcze nie skończył. W tym sezonie mówiłem już wielokrotnie, że idziemy metodą małych kroków. Następny krok czeka nas w finale na PGE Narodowym w Warszawie i będziemy na niego gotowi. Jeżeli chodzi o przebieg spotkania z Puszczą, chciałbym przede wszystkim pochwalić zespół. Był to niełatwy mecz dla nas,

choćby wynik i późniejszy przebieg spotkania mogłyby wskazywać, że było łatwo. Początek spotkania był trudny, ale Valentin Cojocar po raz kolejny pozwolił nam utrzymać się w meczu. Teraz odkładamy myślenie o Pucharze Polski i skupiamy się na naszych krokach w PKO BP Ekstraklasie.

Niedokończone sprawy

2 maja Pogoń stanie przed szansą, by zrehabilitować się w Warszawie za nieudany mecz finałowy PP w ubiegłym roku. - To coś, nad czym pracowaliśmy tak naprawdę od przerwy zimowej - stwierdził obrońca Linus Wahlqvist. - Dobrze zaczęliśmy rundę rewanżową w ekstraklasie, ale z uwagi na sytuację w tabeli zdawaliśmy sobie sprawę, że w lidze trudno będzie grać o najwyższą pulę. Oczywiście ciągle mamy szansę skończyć sezon w czołowej trójce, jednak Puchar ciągle był na wyciągnięcie ręki. Pamiętam, co wydarzyło się w finale Pucharu Polski w zeszłym sezonie. Wielu zawodników, którzy w nim grali, wciąż znajduje się w naszej kadrze. Tak samo trener, który wówczas był asystentem. Wszystkim nam bardzo zależało na postawieniu tego kroku. Przez cały sezon powtarzaliśmy sobie, że mamy w Pucharze Polski niedokończone sprawy. Teraz znowu jesteśmy w finale, ale nie jesteśmy zadowoleni z samego finału, chcemy jeszcze go wygrać - dodał Szwed.

- Jeszcze kilka miesięcy temu jako drużyna nie byliśmy gotowi wygrać takiego meczu jak ten - kontynuował swój wywód. - Gra w tych warunkach, na niewielkim stadionie i boisku, które nie jest perfek-

cyjnie przygotowane, nie jest czymś, co nam odpowiada. Podczas przerwy zimowej wykonaliśmy jednak wielką pracę, aby stać się lepszą drużyną i grupą ludzi. Odkąd tu przyszedłem w zespole jest topowa atmosfera, ale pracujemy nad tym, by z dnia na dzień była ona jeszcze lepsza.

We wtorkowym meczu Wahlqvist zdobył gola dającego Pogoni prowadzenie 2:0. - W tym sezonie w obu meczach z Puszczą strzelałem bramki, więc można powiedzieć, że ten rywal mi pasuje - powiedział 28-letni piłkarz. - To fajne, ale najważniejsze jest zwycięstwo drużyny. Cieszę się, że mogliśmy je celebrować z niewielką grupą naszych kibiców, która pojawiła się w Niepołomicach. Przejechaliśmy wiele kilometrów, pomimo faktu, że nie otrzymaliśmy dostatecznej ilości biletów. Gdyby była taka możliwość, byłoby tu ich z pewnością znacznie więcej. Jestem zadowolony, że mogliśmy im dać radość.

Pełna kontrola

- Mieliśmy kontrolę nad tym meczem, szybko strzeliliśmy gola, mieliśmy też wiele okazji, aby zdobyć kolejne gole - podsumował mecz w Niepołomicach bramkarz „Portowców” Valentin Cojocar. - Tak naprawdę jedyne dogodne okazje rywali to był rzut karny i strzał w poprzeczkę. Cieszymy się, że wracamy na Stadion Narodowy. Dla nas to okazja do rewanżu za to, co wydarzyło się przed rokiem i jesteśmy na tym w pełni skoncentrowani.

Rumuński golkeeper przyczynił się do efektywnej wygranej swojej drużyny, broniąc rzut karny. - Żartowałem sobie z kolegami z zespołu, że zawsze rzucam się we właściwy róg, ale nie mam szczęścia, aby obronić „jedenastkę”. Z Puszczą był najlepszy moment, aby się w tym przełamać. Cieszę się, że mogłem pomóc zespołowi - powiedział zadowolony „Cojo”.

Bogdan Nather

Miesiąc miodowy

W marcu drużyna z Oporowskiej przeszła prawdziwą metamorfozę, zdobywając w czterech meczach siedem punktów.

ŚLĄSK WROCŁAW

W ubiegłym miesiącu drużyna prowadzona przez Słoweńca Ante Szimundę strzelili wówczas 10 goli. Zespół pod wodzą Ante Szimundy zanotował znaczną poprawę w kontekście gry w ataku. Przypomnijmy, że Śląsk miał najgorszą ofensywę w rundzie jesiennej. Wówczas strzelił tylko 14 goli, a skuteczność strzałów wynosiła zaledwie 8,48%. Oba wyniki były najgorsze w całej PKO BP Ekstraklasie. Średnia w marcu to już 2,25 gola na mecz.

Bez pustego przebiegu

Wicemistrzowie Polski rozpoczęli marzec od wyjazdowej porażki z Legią Warszawa (1:3), potem zremisowali na własnym stadionie 1:1 z Pogonią Szczecin, zaś ostatnie dwa występy to wygrane w Mielcu (4:1 ze Stalą) i u siebie z Lechem Poznań (3:1). We wszystkich tych potyczkach na listę zdobywców bramek wpisał się 24-letni napastnik Assad Al-Hamlawi, który jest poważnym kandydatem do miana piłkarza marca. Godnym uwagi i podkreślenia jest również fakt, że w każdym z tych spotkań wrocławianie strzelali gole, czego nie było w żadnym z poprzednich miesięcy.

Śląsk od dawna zmagał się z anemią strzelecką, ale wejście na pokład Al-Hamlawiego sprawiło, że zmienił się oblicze zespołu. Dziewięć zdobytych bramek w czterech meczach w minionym miesiącu to wynik, jakiego Wojskowy

Klub Sportowy nie zanotował od maja ubiegłego roku, kiedy sięgnął po wicemistrzostwo Polski. Podopieczni trenera Jacka Magiera strzelili wówczas 10 goli. Zespół pod wodzą Ante Szimundy zanotował znaczną poprawę w kontekście gry w ataku. Przypomnijmy, że Śląsk miał najgorszą ofensywę w rundzie jesiennej. Wówczas strzelił tylko 14 goli, a skuteczność strzałów wynosiła zaledwie 8,48%. Oba wyniki były najgorsze w całej PKO BP Ekstraklasie. Średnia w marcu to już 2,25 gola na mecz.

Nadał drużynie charakter

Runda wiosenna to zupełnie inna bajka. W ośmiu potyczkach ligowych wrocławianie mają również 14 zdobytych bramek, a do zakończenia rywalizacji pozostało jeszcze 8 kolejek. Owe czternaście goli to bardzo dobry wynik, większą zdobyczą mogą pochwalić się jedynie Pogoń Szczecin (16 bramek) oraz Jagiellonia Białystok i Lech Poznań (oba po 15 goli). Natomiast tyle samo trafień zaliczyły Raków Częstochowa i Radomiak.

Wpływ na taką metamorfozę drużyny z Oporowskiej ma zdaniem byłego napastnika Śląska Janusza Kudyby przede wszystkim nowy trener. - Ante Szimunda to klasyczny, czysty warsztatowiec

- zachwala szkoleniowca ze Słowenii 64-latek. - To trener, który w zasadzie nie udziela się w mediach, a jeżeli już, to robi to niechętnie. Oczywiście poza oficjalnymi konferencjami prasowymi. Nadał zespołowi charakteru, uzmysłowił zawodnikom, że gra i walczy się do ostatniego meczu. Fakty przemawiają na jego korzyść: z 9-10 punktów straty do bezpiecznej strefy pozostały już tylko trzy. To znak, że zespół uwierzył w siebie, podczas meczu dla piłkarzy Śląska nie ma straconych piłek. Szimunda dobrze poukładał zespół, transfery były udane i Śląsk ma duże szanse na utrzymanie w ekstraklasie.

Na tropie Robaka

Wspomniany wcześniej Assad Al Hamlawi jest pierwszym napastnikiem Śląska, który trafił do siatki w czterech kolejnych meczach od sierpnia 2017 roku, gdy Marcin Robak pokonał bramkarzy w czterech kolejkach z rzędu. - Palestyńczyk nie tylko strzela gole, ale bardzo dobrze grał tym do bramki i uczestniczył w wysokim pressingu, stając się pierwszym obrońcą - chwali napastnika urodzonego w Szwecji Janusza Kudyba. - Potrafi odebrać piłkę, ma zmysł do gry kombinacyjnej. To między innymi dzięki niemu drużyna jest monolitem, bo pamiędzy piłkarzami „zaiskrzyło”.

Bogdan Nather



Piłkarze Śląska (od lewej Żukowski, Schwarz, Szota i Al Hamlawi) mają powody do radości, ich dobra passa wciąż trwa.

Fot. Mateusz Porębski/PresFocus

PODWÓJNY NELSON

Bogdan
Nather

Ofiary iluzji

Nie należę do osób nadwrażliwych, lecz muszę uczciwie przyznać, że ze wzruszenia tży napłynęły mi do oczu, gdy zapoznałem się z wynurzeniami piłkarza ŁKS-u Łódź Sebastiana Rudolę po porażce jego drużyny na własnym stadionie z Odrą Opole. W tym momencie koniecznie muszę przypomnieć wszystkim kibicom, którzy nie mają w głowie tabeli Betclit 1. Ligi i nie znają jej na pamięć, że zespół prowadzony obecnie przez trenera Jarosława Skrobacza ma najgorszą defensywę na zapleczu ekstraklasy! Aż 48 goli straconych w 24 kolejkach od razu narzuca mi skojarzenie, że obrońcy Odry przyciągają kłopoty jak piorunochron gromy.

Oto Rudol, mający za sobą ponad sto meczów w ekstraklasie w koszulce Pogoni Szczecin, serwuje nam wszystkim drętwy tekst, że wierzy w udział swojej drużyny w barażach, których stawką będzie awans do PKO BP Ekstraklasy! No dobra, optymizm jest w porządku, ale ślepa wiara... już niekoniecznie. Owszem, marzenia i pobożne życzenia nic nie kosztują i nie grozi za nie pobyt za kratkami. Sugerowałbym jednak wychowankowi Gwardii Koszalin, by nim zacznie opowiadać takie „bajki” dorostym, najpierw napił się zimnej wody i ochłoniął. Powinien bowiem dokładnie przestudiować tabelę i sprawdzić, jakie zespoły ŁKS musi wyeksmitować z czotowej szóstki. Miedź? Wisłę Płock? Polonię Warszawa? Wisłę Kraków? Teoretycznie jest to możliwe (strata do „Białej Gwiazdy” to „tylko” sześć punktów), ale takie spekulacje - inaczej tego nazwać nie mogę - piłkarza ŁKS-u brzmią równie wiarogodnie, co oświadczenie, że szepnęła mu coś takiego do ucha różowa wróżka. Poza tym łodzianom stoją na drodze jeszcze takie ekipy, jak Ruch Chorzów, Górnik Łęczna czy GKS Tychy, które na pewno nie rozłożą przed nimi czerwonego dywanu. Jestem bardzo ciekawy, czy już w najbliższej kolejce obrońca ŁKS-u zamieni słowa na czyny, a jego zespół pokona w Siedlcach tamtejszą Pogoń.

Szkoleniowiec tej ostatniej, Adam Nocoń, to trener „dobrej roboty”, warsztatowiec, nie celebryta. Nie mówi o przystawionych gruszkach na wierzbie, tylko trzyma się konkretów i twardo stąpa po ziemi. Jego drużyna jest „czerwoną latarnią” tabeli i traci do bezpiecznego miejsca sześć „oczek”, ale 54-letni szkoleniowiec nie twierdzi, że utrzymanie Pogoni w 1. lidze jest pewne jak amen w pacierzu. Jego planem „na już” jest... opuszczenie ostatniego miejsca. To śmiało! Na tym, że Nocoń i jego ekipa (sztab, piłkarze) w walce o utrzymanie broni jeszcze nie złożyli. Zdają sobie jednak sprawę z tego, że jeżeli trzyma się głowę w paszczy lwa, to ten ją kiedyś odgryzie.

Analizując mecze w ostatniej kolejce zauważyłem, że piłkarze Miedzi Legnica i Chrobrego Głogów zapomnieli, że mecz trwa nie 20 minut czy trzy kwadransy, lecz 90 minut z małym okładem, czyli doliczonym czasem gry. Wspomnieli o tym m.in. obrońca Michał Kostka (Miedź) i trener Łukasz Becella (Chrobry). Byli nie tyle niepokieszeni, co wściekli. Okoliczności porażek z Arką i Polonią Warszawa sprawiły, że mieli ponure twarze, przypominające nieco cierpiącego na niestrawność spaniela.



Kibice Widzewa niezmiennie wierzą, że wrócą dla klubu złote czasy.

Nadzieje na mocnych podstawach

W środę rano ludzi jadących z Widzewa do śródmieścia Łodzi witał koło stadionu baner z napisem „Uczynimy Widzew znów wielkim”!

Lata 1996-2000 to najlepszy okres w historii Widzewa. Drużyna dwukrotnie (1996-97) była mistrzem Polski, raz (1999) wicemistrzem, a w 1998 roku zajęła czwarte miejsce, ale – jak mówią rodowici łodzianie – na szczęście tytuł został w Łodzi, bo mistrzem był ŁKS. Do tego dodać trzeba występy w Lidze Mistrzów i mecze z Borussia Dortmund, Atletico Madryt i Steauną Bukareszt, a Widzew grał w eliminacjach Ligi Mistrzów jeszcze w 1999 roku i to nie z byle kim, bo z Fiorentiną i Monaco, zastępując wykluczoną wtedy z rozgrywek („nóż w głowie Di-no Baggio”) Wisłę.

Stary skrót, nowy klub

Rok 2000 kończył jednak nie tylko XX wiek, ale i widzewską „złotą erę”. Klub zaczął szybko się staczać, aż doszło do upadłości. Próby odrodzenia, podejmowane przez kolejnych właścicieli, okazały się nieudane, aż wreszcie w 2015 roku drużyna nie dokończyła

rozgrywek, a klub nie wystąpił w ogóle o licencję na następny sezon.

Powstało wtedy nowe stowarzyszenie ze starym, nieaktualnym już, skrótem RTS (Robotnicze Towarzystwo Sportowe), ale z nowym jego rozwinięciem – Reaktywacja Tradycji Sportowych. Uratowano historię i tradycję, drużyna mozołnie odzyskiwała miejsce w wyższych klasach, aż wróciła do ekstraklasy. Ostatnie cztery lata to okres rządów Tomasa Stamirowskiego, łódzkiego biznesmena, wcześniej wyczerpanego biegacza przez plotki, potem wielkiego i „nieuleczalnego” kibica Widzewa, posiadacza nie tylko sky-boksa na stadionie, ale i karnetu dla siebie i dla brata na widowni.

Zawsze wyżej niż ŁKS

Zmiana właściciela w klubach piłkarskich odbywa się zwykle wtedy, gdy katastrofa sportowa i finansowa jest nieunikniona. Tutaj jednak sytuacja jest inna: Stamirowski uznał,

że jego możliwości się wyczerpały, ale oddaje spółkę w bardzo dobrej sytuacji. Widzew jest jednym z trzech klubów ekstraklasy, który notuje rok po roku zysk i nie musi się oglądać na żadne ratunkowe dotacje i pożyczki. Ma również swoje kibicowskie sukcesy. – Przywróciłem Widzewowi właściwe miejsce w piłkarskiej hierarchii w mieście, bo w minionych czterech latach Widzew był zawsze wyżej niż ŁKS. Z czterech meczów derbowych Widzew wygrał trzy i jeden zremisował, no i jeszcze udało się po kilkunastu latach wygrać z Legią – mówił.

W środę rano ludzi jadących z Widzewa do śródmieścia Łodzi witał koło stadionu baner z napisem „Uczynimy Widzew znów wielkim”. To nic, że po angielsku – nadzieje związane z nowym „większościowym udziałowcem”, a mówiąc prościej – właścicielem, są dla każdego zrozumiałe. Został nim Robert Dobrzycki, biznesmen nie tylko polskiej, ale i światowej ekstraklasy, właściciel firmy Panat-

toni. Odkupił on od Stamirowskiego część akcji i dokapitalizował spółkę, przez co ma teraz 70 procent udziałów, podczas gdy Stamirowski pozostawił sobie 20 procent, a pozostałe 10 jest w posiadaniu stowarzyszenia RTS. Skrót ten tym samym zyskał nieoficjalne, ale wierne oddające strukturę spółki rozwinięcie: Robert-Tomek-Stowarzyszenie.

Robert Dobrzycki jest na tyle doświadczonym biznesmenem, że nie podejmuje decyzji pod wpływem chwilowego impulsu. Już od pewnego czasu angażował się we wspieranie klubowej akademii, jego firma była poważnym sponsorem poprzez reklamy na koszulkach meczowych, wspiera rozbudowę bazy treningowej. Pertraktacje w sprawie przejęcia zarządzania klubem trwały kilka miesięcy i niewiele było wiadomo o szczegółach. Teraz będzie głównym decydem. – Chętnie zamienię te swoje akcje na kolejne trofeum w klubowej gablocie – mówił w pożegnalnym

wystąpieniu Tomasz Stamirowski, który nadal będzie się angażował w kierowanie klubem, ale w mniejszym zakresie.

Okno szeroko otwarte

Szumnych zapowiedzi typu „Liga Mistrzów za trzy lata” nie było, a obaj wspólnicy zapowiedzieli resztą, że „deszczu pieniędzy nie będzie”. – Plan na ten sezon, czyli utrzymanie się w ekstraklasie, jest już bliski realizacji. Wzmocnień można spodziewać się latem i nie będzie to skromne okienko transferowe, a szeroko otwarte okno, jak zapowiedział nowy właściciel.

Minie niedługo 30 lat od sukcesów końca lat dziewięćdziesiątych. Tamten okres może być inspiracją dla obecnych władz i pokazać drogę do sukcesu, ale i ostrzeżeniem, czego nie robić, by nie doprowadzić do upadku. Na szczęście mamy dzisiaj inne biznesy i innych biznesmenów niż w tych pierwszych latach polskiego kapitalizmu.

Wojciech Filipiak

Pięćdziesiąt zlikwidowanych boisk

Rozmowa z **Jozefem Barmoszem**, 52-krotnym reprezentantem Czechosłowacji, medalistą mistrzostw Europy 1976 i 1980, legendą Interu Bratysława

Grał pan przeciwko słynnym polskim napastnikom: Włodzimierzowi Lubańskiemu, Andrzejowi Szarmachowi, Grzegorzowi Lacie czy Zbigniewowi Bońkowi. Który z nich był najtrudniejszy do upilnowania?

- Najtrudniej grało się przeciwko Lacie. Mierzyliśmy się w europejskich rozgrywkach Pucharu UEFA było to późną jesienią 1975 roku w 1/8 finału - przyp. red.. Był w świetnej formie, rok wcześniej został przecież królem strzelców mistrzostw świata w Niemczech Zachodnich. Był szybki, ruchliwy. Boniek? Równie dobry. Poszedł grać na Zachód, do Juventus i przebił się. My nie mieliśmy takich możliwości, żeby wyjechać wtedy zagranicę. Oficjalnie można to było zrobić, kiedy miało się 32 lata. Nieoficjalnie władze przysmykały czasami oko i wyjeżdżało się rok wcześniej. Takie były wtedy czasy.

Przez lata występował pan w liczącym się w czechosłowackiej piłce Interze Bratysława, potem był pan nawet prezesem tego klubu. Teraz gracie ledwie na trzecim poziomie rozgrywkowym na Słowacji. Co się stało?

- Inter to jest w tej chwili... katastrofa. Boisko mamy nieopodal Stadionu Narodowego w Bratysławie. Tam jest nasza siedziba. Na tym boisku trenują i grają pierwsza drużyna oraz juniorzy do lat 19 i 17. Młodsze dzieci trenują w innych częściach miasta. Wie pan ile boisk w Bratysławie w ostatnim czasie zlikwidowano? Pięćdziesiąt! Zlikwidowano pięćdziesiąt boisk, na których deweloperzy postawili domy. Czy powstają nowe miejsca do grania? Nie! To jest katastrofa, co się u nas dzieje... Nie ma możliwości normalnego trenowania. Przed laty Inter organizował Puchar Dunaju dla młodych zawodników. Przyjeżdżały czeskie drużyny, byliśmy my, Słowacy, pojawiali się Węgrzy, Jugosłowianie. Było to w maju, graliśmy przez dwa dni. Mieliśmy do dyspozycji jako Inter główne boisko, dwa treningowe, był obiekt dla młodszych,



Juraj Kucka podczas meczu z Anglią na Euro. Zawodnik wypatrzony przez Jozefa Barmosza.

a także boisko ze sztuczną trawą. Teraz nie mamy... nic. Mamy ledwie jedno główne boisko, a i to nie jest nasze, gdyż to miasto jest jego właścicielem. Miasto odebrało nam tereny, które Inter przed laty miał i pewnie za chwilę zobaczymy tam nowe bloki... Nowych boisk się nie buduje i to jest fatalne... W Bratysławie nie mają stadionu Inter, Petržalka, Karlova Ves. Ma swój obiekt Slovan, ale tylko dla pierwszego zespołu, nie dla dzieci. Slovan akademię ma na Rapidzie. Jeśli chodzi o futbol, to w Bratysławie wszystko zostało zniszczone. Miasto sprzedawało tereny, które przejęli deweloperzy, chytry biznesmeni.

W katowickim „Sporcie” piszemy o kłopotach polskiej piłki. W ekstraklasie w wielu klubach gra więcej obcokrajowców niż Polaków. Jak to wygląda na Słowacji?

- U nas też jest to problemem. Młodzi chłopcy kończą wiek juniora i nie dostają szansy w najwyższej klasie rozgrywkowej. Są jednak kluby, które mają składy złożone w większo-

ści z naszych zawodników, jak przykładowo Żylina. Wielu z tych młodych utalentowanych chłopaków jak najszybciej chce jednak wyjechać, grać w zagranicznych klubach. Są niecierpliwi. Obserwuję mecze w wyższej ekstraklasie, mam porównanie i widzę, że u was poziom jest lepszy.

Polska to jednak zdecydowanie większy kraj niż Słowacja, są nowe stadiony...

- Wiem, wiem... Jest duża różnica w potencjale i nie ma nawet o czym mówić. U nas w czerwcu odbędą się Młodzieżowe Mistrzostw Europy do 21 lat. Mam wielką nadzieję, że to będzie taki impuls, żeby na Słowacji zaczęli wreszcie budować nowe stadiony, żeby było więcej boisk do grania. Na Węgrzech ten proces miał miejsce 10 lat temu. Przyszedł Orban i powiedział: "jak chcesz nowy piłkarski obiekt, to zbuduj go, my pomożemy". U nas w Interze było wiele dobrych chłopaków. Przyszedł Slovan i wziął 50 najlepszych do swojej akademii, przyszła Petržalka

JOZEF BARMOSZ

■ **Data urodzenia:** 28 sierpnia 1954 r.

■ **Miejsce urodzenia:** Surany (Czechosłowacja)

■ **Pozycja na boisku:** prawy obrońca

■ **Kariera:** Družstevník Besenov, Inter Bratysława, Dukla Praga, Inter Bratysława, Racing Jet Bruksela, SV Sieghartskirchen

■ **Sukcesy:** mistrzostwo Europy 1976, brązowy medal ME 1980, uczestnik MŚ 1982, mistrzostwo Czechosłowacji z Duklą Praga 1979

■ **Reprezentacja Czechosłowacji:** 52 mecze

ka i wzięła kolejnych. Mieliliśmy zniknąć całkowicie, a nasze tereny mieli przejąć deweloperzy.

Ale działa pan dalej w swoim Interze?

- Gdy zmieniły się władze, powiedziałem, że mogę być prezesem honorowym, firmować własnym nazwiskiem, ale tak naprawdę pracę na siebie muszą wziąć inni. W Interze Bratysława mamy teraz aż 380 trenujących dzieci, ale jak mówiłem wcześniej, nie mamy właściwie gdzie trenować. Jeździmy i trenujemy po całym mieście, płacąc za wynajem. Za okres od listopada do marca wychodzi około 50 tys. euro! To olbrzymie pieniądze. Rodzice dzieci muszą płacić, najmłodszy po 25 euro miesięcznie, a starsi po 35, 40, do 50 euro. Tak to u nas w tej chwili wygląda... W 2009 jako prezydent byłem w bratysławskim magistracie, od tego czasu otrzymaliśmy może 10 tys. euro. Sami remontowaliśmy nasz obiekt, szatnie, boisko, trybuny, a nie jest to przecież nawet... nasze.

Są miejsca i kluby na Słowacji, które dobrze funkcjonują?

- Są. Przykładem mogą być Michalovce na wschodzie kraju, koło Koszyc. To 25-tysięczne miasteczko, a mają tam futbolową ekstraklasę, hokej i piłkę ręczną kobiet. Bratysława to już dramat. Sprzedaliśmy swój największy koncern paliwowy Slovnaft węgierskiemu MOL, a ten wspiera teraz klub z Dunajskiej

Stredy, gdzie jak wiemy jest duża populacja Węgrów. My straciliśmy.

Ma pan na koncie ponad pół setki meczów w reprezentacji Czechosłowacji, a potem był trenerem w kadrze U-21 i U-20. Talentów piłkarskich u was nigdy nie brakowało.

- Byłem też asystentem w pierwszej reprezentacji Słowacji. Przed marcowym meczem ze Słowenią w barażu o Dywizję B Ligi Narodów pożegnał się z kadrą oficjalnie Juraj Kucka (111-krotny reprezentant Słowacji, piłkarz takich klubów, jak Milan, Genoa, Trabzonspor, Sparta Praga, Slovan Bratysława – przyp. red.). Nikt o nim nie słyszał, sam go wypatrzyłem. W tamtym czasie przekonywałem władze, że ważne jest nie tylko to, żeby nasi młodzi zawodnicy trenowali z pierwszą drużyną, ale żeby grało w ligowym zespole co najmniej dwóch młodzieżowców. Mój pomysł nie przeszedł. Argument miałem taki: „Jak mamy wygrać z takim rywalem jak Belgia, skoro nasi młodzi piłkarze grają tylko w III-ligowych rezerwach? Tak się nie da”. Kiedy prowadziłem drużynę do lat 20, to było jeszcze gorzej, bo niewielu z tych chłopaków występowało, a u wspomnianych Belgów wszyscy grali już w ligowych drużynach. Do dziś

mamy problem z tymi młodymi graczami... Zdarza się, że wielu z nich wyjeżdża, próbuje za granicą, po czym wraca do domu.

A jak było w pana wypadku?

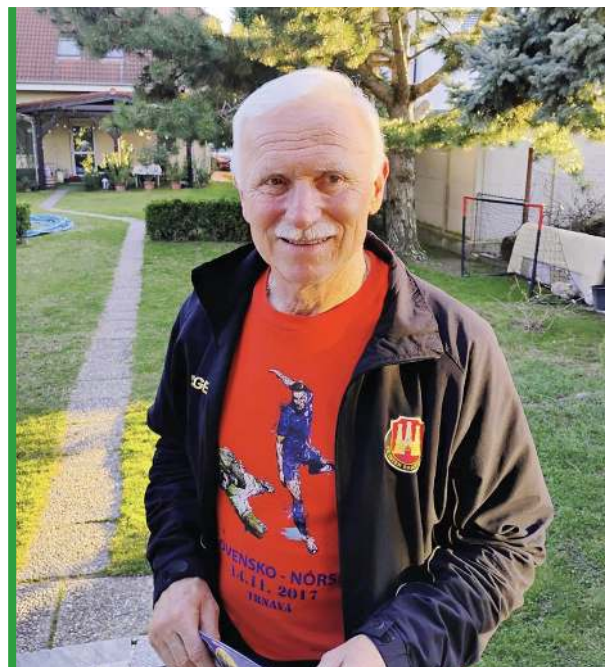
- W lidze zacząłem grać gdy nie miałem jeszcze 19 lat. Tylko gdy grasz, to ktoś ci może zauważyć. W tamtych czasach było oczywiście inaczej: Czesi i Słowacy grali w jednym kraju, Polacy u siebie. A teraz? Teraz przyjdzie menedżer, zamąci młodemu w głowie i ten już idzie grać gdzie indziej. Widzę, że w Polsce też jest kłopot, bo macie w lidze bardzo dużą ilość piłkarzy zagranicznych.

Organizacja Euro do lat 21 może pomóc słowackiej piłce?

- Może, bo przecież każde mistrzostwa mogą być takim pozytywnym impulsem. Mamy na Słowacji kluby, w których młodzież dostaje szansę. Niektórzy z nich potem występują w zagranicznych klubach, grają, a nie siedzą na ławce, bo to ważne. Nie wystarczy gdzieś być, ale trzeba jeszcze grać! Jestem optymistycznie nastawiony przed tym turniejem na naszych stadionach w czerwcu.

Rozmawiał w Bratysławie Michał Zichlarczyk

*Druga część rozmowy z Jozefem Barmoszem wkrótce



Jozef Barmosz w swoim domu w miejscowości Malinovo pod Bratysławą.

Stadion Śląski zmieni nazwę

Słynny „Kociot Czarownic” będzie miał sponsora tytularnego. Zostanie nim firma Superauto.pl z Chorzowa.

Informację jako pierwszy podał „Dziennik Zachodni”. Umowa ma zostać podpisana na trzy lata z opcją przedłużenia na dwa kolejne. - Bardzo mi zależy na tym, żeby ten stadion żył, żeby się rozwijał, a w przyszłości także bilansował i ta umowa to jest dobry krok w tym kierunku - uważa Leszek Pietraszek, wicemarszałek województwa śląskiego. W ten sposób drugi co do wielkości stadion w Polsce będzie miał pierwszego sponsora tytularnego.

Mix stadionowo-samochodowy

Jak będzie wkrótce nazywał się obiekt? To już wiadomo: „Superauto.pl Stadion Śląski”. Firma, która wejdzie do nazwy to największy sprzedawca nowych samochodów w polskim internecie. Informacje „Dziennika Zachodniego” potwierdziły władze Stadionu oraz województwa. Stadion szuka tytularnego sponsora od dłuższego czasu. Została rozpisana procedura konkursowa, oferta firmy Superauto.pl ma być bardzo satysfakcjonująca. Umowa zostanie zawarta na trzy lata z opcją przedłużenia o kolejne dwa, przy czym w tych dwóch dodatkowych latach wpłaty sponsora, które na razie pozostają tajemnicą handlową, mają jeszcze wzrosnąć.

Przed wejściem umowy w życie musi zatwierdzić ją jeszcze Sejmik Województwa Śląskiego, bo wiąże się ona ze zmianą nazwy Stadionu Śląskiego. Ma to się stać na najbliższej sesji, która jest zaplanowana na 14 kwietnia. Warto dodać, że Stadion Śląski już wcześniej współpracował z firmą Superauto.pl, która była jego partnerem motoryzacyjnym. Teraz ta

współpraca zostanie znacznie rozszerzona.

- Stadion Śląski zna nie tylko każdy mieszkaniec Śląska, ale też każdy Polak, który albo był tu osobiście na ważnym wydarzeniu sportowym czy koncercie, albo też oglądał transmisję z tych wydarzeń w telewizji. Dzięki zawartej umowie sponsor-skiej Superauto.pl stanie się firmą rozpoznawaną w całej Polsce. Umocnimy w ten sposób naszą pozycję lidera rynku nowoczesnej sprzedaży samochodów - ocenił prezes i współzałożyciel spółki Kamil Makula.

Coraz więcej się dzieje

Stadion korzysta ze swojej wielofunkcyjności, organizując wiele imprez różnorakiego rodzaju - sportowych i muzycznych. Na co dzień domowe mecze rozgrywa tu obecnie Ruch Chorzów (jak choćby środkowy półfinał Pucharu Polski z Legią - patrz strona 2), jeszcze w tym roku w „Kotle Czarownic” znów zagości reprezentacja Polski. Nasi piłkarze 6 czerwca podejmą Mołdawię w towarzyskim meczu, a 7 września w kwalifikacjach mistrzostw świata zagrają z Finlandią.

Na Stadionie Śląskim ostatni raz Białoczerwoni wystąpili 29 marca 2022, kiedy pokonali Szwecję 2:0 w barażu o awans do mistrzostw świata w Katarze. W przeszłości obiekt był świadkiem wielu historycznych wydarzeń.

Spotkanie ze Szwecją było 61., jakie Białoczerwoni rozegrali na tym stadionie. Na trybuny przyciągnęło ono 54 078 kibiców.

Kiedy okazało się, że Chorzów nie znalazł się w gronie gospodarzy meczów Euro 2012, samorząd wojewódz-

stwa (właściciel areny) postanowił dokończyć modernizację i stworzyć obiekt wielofunkcyjny. Montaż zadania zakończył się powodzeniem w grudniu 2015. Ostateczny koszt przedsięwzięcia zamknął się kwotą ok. 650 mln zł. Widownia pomieści 54 tys. kibiców.

Przeszłość? Jest chlubna, wiele tu się działo. 100 tysięcy ludzi obejrzało w Chorzowie, zakończone zwycięstwem 2:1, legendarne już spotkanie ze Związkiem Radzieckim w 1957 roku, kiedy dwa gole strzelił Gerard Cieślak.

Z kolei 6 czerwca 1973 Polacy pokonali Anglię 2:0 w obecności 90 tys. ludzi i było to jedyne dotychczas zwycięstwo nad tym rywalem. Angielskie media, ze względu na panującą na nim atmosferę, okrzyknęły śląski obiekt „Kotłem Czarownic” i ten przydomek przylgnął do niego na stałe.

Budowę stadionu rozpoczęto w marcu 1953 roku. Trzy lata później był gotowy. Posiadał wtedy 80 tys. miejsc siedzących i galerię, mogącą pomieścić 20 tys. stojących kibiców. Na otwarcie przybyło ok. 90 tys. osób. Głównym programem był towarzyski mecz Białoczerwonych z NRD. Polacy przegrali 0:2.

Nie tylko piłka

„Śląski” kojarzony jest głównie z meczami piłkarskimi, ale gościł też wielokrotnie m.in. żużlowców. To na chorzowskim torze 2 września 1973 tytuł indywidualnego mistrza świata wywalczył Jerzy Szczakiel.

Od lata 2021 jest Narodowym Stadionem Lekkoatletycznym. Gościł m.in. nieoficjalne MŚ sztafet (2021), dwukrotnie Drużynowe ME (2021, 2023) oraz zawody Igrzysk Europejskich (2023). Od 2018 roku jest areną Memoriału Kamili Skolimowskiej, od trzech lat włączono do cyklu Diamentowej Ligi.

W Chorzowie odbywa się coraz więcej koncertów największych gwiazd muzycznych nie tylko z Polski, ale także z zagranicy. Koncertowały na nim w przeszłości m.in. AC/DC, Metallica, Genesis, Rolling Stones, The Police, Red Hot Chili Peppers, Iron Maiden czy U2. Chorzowski gigant był także areną ostatniego Sylwestra z Dwójką.

(pap, y)



Cezary Kulesza chce mieć wpływ na europejską piłkę.

Prezes PZPN marzy o Europie

Cezary Kulesza jest wśród jedenastu kandydatów do siedmiu miejsc w Komitecie Wykonawczym UEFA, w którym kończy się kadencja Zbigniewa Bońki, wiceprezenta tej organizacji.

Wybory odbędą się w czwartek podczas 49. Kongresu Zwyczajnego w Belgradzie. Obrady rozpoczną się o godz. 9.30 i zakończą około 13.00. Po nich planowana jest konferencja prasowa prezydenta UEFA Aleksandra Ceferina.

Jednym z najważniejszych punktów Kongresu będą wybory do Komitetu Wykonawczego europejskiej centrali.

KW jest najwyższym organem wykonawczym UEFA. Jego skład tworzą: prezydent UEFA, 16 innych członków wybranych przez Kongres, a także dwóch działaczy nominowanych przez Europejskie Stowarzyszenie Klubów (ECA) i jeden przez Ligi Europejskie (EL). Wszyscy mają takie same prawa i obowiązki.

Co dwa lata „wymienia się” - w drodze głosowania - około połowy tego gremium. W czwartek wybranych zostanie ośmiu kandydatów, w tym jedna kobieta, na czteroletnią kadencję, natomiast dwóch - na dwuletnią.

Miejsce dla jednej kobiety jest obligatoryjne (kandyduje tylko Norweżka Lise Klaveness), więc rywalizacja - na czteroletnią kadencję - trwa o siedem miejsc.

Rywale Kuleszy

Oprócz Kuleszy o miejsce w tym gremium stara ją się: Dominique Blanc (Szwajcaria), Gabriele Gravina (Włochy), Marijan Kustic (Chorwacja), Ari Lahti (Finlandia), Armen Melikbekyan (Armenia), Frank Paauw (Holandia), Aivar Pohlak (Estonia), Pedro Proenca (Portugalia), Hugo Quaderer (Liechtenstein) i Hans-Joachim Watzke (Niemcy), przy czym Gravina i Watzke ubiegają się o reelekcję. Włoch jest obecnie jednym z wiceprezydentów UEFA.

Najbardziej znani z tego grona są właśnie dwaj ostatni oraz Proenca, w przeszłości popularny sędzia międzynarodowy.

Ponadto pięciu kandydatów ubiega się o kadencję dwuletnią - znakomity w przeszłości piłkarz Andrij Szewczenko z Ukrainy oraz Vadims Lasenko (Łotwa), Rafael Louzan (Hiszpania), Bjorn Vassallo (Malta) i Moshe Zuares (Izrael).

PZPN poinformował o starcie Kuleszy na początku lutego. Od tego czasu szef krajowej federacji jeździł po Europie i spotykał się z władzami niektórych związków - gościł m.in. w Chorwacji, Turcji i Albanii. W ostatnim z tych krajów szefem futbolu jest Armand Duka, jeden z wiceprezydentów UEFA, z którym Kulesza ma bardzo dobre relacje.

Z niektórymi działaczami szef PZPN mógł porozmawiać również w kraju. W marcu reprezentacja Polski grała na PGE Narodowym z Litwą (1:0) i Maltą (2:0) w eliminacjach mistrzostw świata, więc przedstawiciele tych federacji gościli w Warszawie.

Odchodzi Boniek

Według medialnych przekazów Kulesza może liczyć najbardziej na poparcie działaczy ze wschodniej i południowej Europy, m.in. z Bałkanów. Biorąc pod uwagę, że do siedmiu miejsc jest jedenastu chętnych, jego szanse wydają się całkiem realne.

„Polski Związek Piłki Nożnej podejmie starania o utrzymanie stanowiska członka Komitetu Wykonawczego UEFA. Jest to funkcja z jednej strony bardzo prestiżowa, z drugiej zaś pozwalająca na uczestniczenie w podejmowaniu decyzji kierunkowych,

ważnych dla rozwoju europejskiego futbolu. Komitet Wykonawczy UEFA ma obecnie 20 członków (prezydent, 6 wiceprezydentów, 13 członków), będących przedstawicielami poszczególnych federacji piłkarskich, najczęściej ich prezesów” - przekazał PZPN w oświadczeniu na początku lutego. „Obecnie nasz kraj reprezentuje Zbigniew Boniek (...). Jego kadencja właśnie się kończy. Po konsultacjach z wiceprezesami federacji podjęto decyzję o desygnowaniu aktualnego Prezesa - Cezarego Kuleszy, do ubiegania się o to stanowisko w strukturach UEFA” - dodano w komunikacie.

Boniek zasiada we władzach europejskiej federacji już dwie kadencje - od 2017 roku, a od czterech lat jest również jednym z wiceprezydentów UEFA. Natomiast funkcję prezesa PZPN pełnił w latach 2012-21 - jego następcą został właśnie Kulesza.

Wybierają gospodarzy

Do obowiązków Komitetu Wykonawczego należy np. wybór organizatorów najważniejszych imprez, w tym mistrzostw Europy, finałów Ligi Mistrzów, Ligi Europy i Ligi Konferencji, ale także m.in. rozdział środków pomocowych.

Boniek był drugim Polakiem w historii Komitetu Wykonawczego, po Leszku Ryłskim (1956-64 i 1966-68), zmarłym w 2015 roku w wieku 95 lat.

W 2011 roku o jedno z siedmiu wówczas wolnych miejsc bezskutecznie ubiegał się Grzegorz Lato, a siedem lat wcześniej kandydował Michał Listkiewicz, dziś m.in. felietonista „Sportu”.

(PAP)



Stadion Śląski często gości piłkarzy Ruchu. Teraz do jego nazwy trafi firma z Chorzowa.



Fot. PAP/PEA

W Bielefeldzie już czują się jak zwycięzcy! A przecież przed nimi jeszcze wyjazd do Berlina!

Trzeciroligowiec w finale!

Jak do tego doszło? Nie wiem, ale Bayer Leverkusen, mistrz Niemiec, odpadł w półfinale krajowego pucharu z Armią Bielefeld, która występuje dwie ligi niżej!

NIEMCY

Tego jeszcze nie grali. Trudno w racjonalny sposób wyjaśnić to, co stało się wtorkowego wieczoru w Bielefeldzie. Trzeciroligowa Arminia (4. w tabeli) podjęła mistrza Niemiec i pokonała go 2:1. Nie było to jednak szczęśliwe zwycięstwo, minimalne... Arminia była po prostu lepsza. Koncentracja i agresja po jej stronie imponowały. W pierwszej połowie Bayer miał tylko 63 procent celnych podań! W ekipie z Leverkusen nie funkcjonowało nic i to do takiego stopnia, że można mówić o jednej z największych niemieckich sensacji XXI wieku.

Kompromitacja mistrza

Trener „Die Werkself” Xabi Alonso był oszołomiony tym, co się dzieje, a „Bild” wprost napisał o jego kompromitacji. Tym bardziej że niedawno przecieżył Bayer odpadł w pełni

zasłużenie z Ligi Mistrzów, ulegając Bayernowi – temu samemu, którego ściga bez efektów w Bundeslidze. Leverkusen miał na wyciągnięcie ręki co najmniej jedno trofeum, a zakończy sezon najprawdopodobniej z figą z makiem (nie licząc Supercupu zdobytego na samym początku). W Bielefeldzie nie było tak, że Alonso zagrał rezerwami, bo tak po prawdzie... wystawił najmocniejszy skład, jakim dysponował. Zabrakło m.in. kontuzjowanego Florianu Wirtza, od którego drużyna w tym sezonie wydaje się uzależniona – zarówno w kontekście jego bramek i asyst, jak i w ogóle w udziale w grze. Ale czy mistrzowi przystoi takie wyjaśnienie?

To nie był spacer

„Berlin, Berlin, jedziemy do Berlina!” – skandowano na SchuecoArena, gdzie po końcowym gwizdku na murawę wbiegli kibice, jakby Arminia zdobyła mistrzostwo Niemiec. Spiker starał się uspokajać miejscowych,

9

MILIONÓW EURO

otrzyma Arminia za awans do finału DFB-Pokal. Aktualnie jej roczny budżet wynosi... 4 mln.

choć sam ledwo panował nad emocjami. Klub z Bielefeldu będzie już czwartym trzeciroligowcem, który dotarł do finału Pucharu Niemiec. Wcześniej dokonały tego rezerwy Herthy Berlin (1993), Energie Cottbus (1997) i Union Berlin (2001). Wszystkie przegrały.

Arminia jednak będzie patrzeć z optymizmem, bo skoro wyeliminowała mistrza, to nie musi bać się nikogo. Tym bardziej że droga do Berlina to nie był spacer. Pierwszy raz w historii zdarzyło się bowiem, aby ktoś z tak niskiego szczebla rozgrywkowego wyeliminował w Pokale czterech bundesligowiczów! „Die Blauen” zaczęli od pokonania zerkającego na awans drugoligowego Hannoveru, a potem ogrywali już tylko elitę: Union, Freiburg, Werder Brema i Leverkusen. – Jeśli nie wierzysz, lepiej nie wychodzić z domu – powiedział trener Arminii Mitch Kniat, co dobrze podsumowuje tę rywalizację. Rok temu w finale grało drugoligowe Kaiserslautern, ulegając „Die Werkself”. Jak poradzą sobie chłopcy z Bielefeldu?

Piotr Tubacki

PÓŁFINAŁ PUCHARU NIEMIEC

■ Arminia Bielefeld – Bayer Leverkusen 2:1 (2:1)
0:1 – Tah (17), 1:1 – Woerl (20), 2:1 – Grosser (45+3)

Madrycki minimalizm

Kibicom „Królewskich” z trudem przychodzi cieszenie się z awansu do finału Pucharu Króla.

HISZPANIA

Choć Real Madryt awansował do finału Pucharu Króla, półfinałowe starcie z Realem Sociedad tylko zwiększyło niepewność kibiców „Królewskich”, którym z trudem przychodzi zachwyt nad grą swojego ulubionego zespołu w tym sezonie. Podopieczni Carlo Ancelottiego po raz kolejny zagraли przeciętnie, przez co dali Baskom nadzieję na zwycięstwo i awans. To nie przypadek, że przyjezdni z San Sebastian byli w stanie zdobyć cztery gole! Real po prostu zagrał słabe zawody i miał tylko przebliski geniuszu, które spowodowały, że ostatecznie wygrał dwumecz.

Tryb oszczędzania energii

Wielu z fanów Realu sądzi, że włoski szkoleniowiec nie jest w stanie w pełni wykorzystać potencjału „Królewskich”. W końcu nie po to prezydent klubu Florentino Perez ściąga futbolowe gwiazdy (Vinicius, Rodrygo, Jude Bellingham, Kylian Mbappe), żeby drużyna grała minimalistycznie. Real ma grać porywający futbol, bo w jego przypadku nie chodzi tylko o wygraną, ale i o wrażenia artystyczne. Takie są wymagania na stadionie Santiago Bernabeu.

Dlatego fanom „Los Blancos” trudno pogodzić się z tym, że Real był zadowolony, że po pierwszej połowie remisował 1:1, co gwarantowało awans do finału. Ekipa Carlo Ancelottiego po wyrównaniu zaczęła grać oszczędnie, a to poskutkowało dwoma bramkami Realu Sociedad.

Więc gdy awans wymknął się z rąk, Real znów zaczął grać, jak na zwycięzcę Ligi Mistrzów przystało. Szybko doprowadził do wyrównania, po czym... znów skupił się na utrzymaniu wyniku, zamiast na dobiegu rywala. W efekcie w doliczonym czasie gola zdobył Mikel Oyarzabal i zapewnił Baskom dogrywkę. W niej Real w końcu zdobył gola na wagę awansu.

Nic nie musimy

Skoro więc Real potrafił się przebudzić przy wyniku 1:3 i w 4 minuty strzelić dwa gole, dlaczego nie prezentował się tak przez cały mecz? Bo nie musiał. I to jest największy problem „Królewskich”. Prawda jest taka, że madryccykców stać, by grać najpiękniejszy futbol na świecie. Stać, żeby kibice z szeroko otwartymi oczami patrzyli na ich grę przez 90 minut. Tymczasem tak wielki zespół, z takimi gwiazdami, marnuje potencjał, grając w oszczędnym stylu. I nie chodzi wcale o umniejszenie jakości Realu Sociedad, a o to, że zespół Ancelottiego powinien pokazywać mistrzowską klasę na boisku nie tylko przez kilkanaście fantastycznych minut, podczas których zdobywa cztery gole, a przez większość spotkania.

Gwiazdy na sprzedaż

Spotkanie to pokazało także dość lekkomyślny stosunek Realu w pozbywaniu się młodych gwiazd. Takefusa Kubo został sprowadzony do stolicy Hiszpanii w 2019 roku, gdy miał 18 lat. Miał być gwiazdą zespołu, jednak klubowi zabrakło cierpliwości. Japoń-

czyk był wypożyczany do Mallorci, Villarrealu, Getafe, aż w końcu został sprzedany do Realu Sociedad w 2022 roku. To właśnie on we wtorkowy wieczór był jednym z lepszych piłkarzy na boisku, udowadniając, że w stolicy Hiszpanii zbyt szybko go przekreślono. Nie jest to odosobniony przypadek – tak samo postąpiono z Achrafą Hakimim, gwiazdą PSG, oraz Martinem Odegaardem z Arsenalu. Wszyscy z nich w Madrycie nie dostali prawdziwej szansy. Gdyby ją dostali, dziś zapewne stanowiliby o sile drużyny.

Kacper Janosza

PÓŁFINAŁ PUCHARU KRÓLA

■ Real Madryt – Real Sociedad 4:4 (3:4, 3:4, 1:1).

W pierwszym meczu 1:0. Awans Real Madryt.

0:1 – Barrenetxea (16), 1:1 – Endrick (30), 1:2 – Alaba (72, samobójcza), 1:3 – Alaba (80, samobójcza), 2:3 – Bellingham (82), 3:3 – Tchouameni (86), 3:4 – Oyarzabal (90+3), 4:4 – Ruediger (115)

Mecz Atletico – Barcelona zakończył się po zamknięciu numeru.

ANGLIA

■ Arsenal – Fulham 2:1 (1:0)

1:0 – Merino (37), 2:0 – Saka (73), 2:1 – Muniz (90+4)

■ Wolverhampton Wanderers – West Ham United 1:0 (1:0)

1:0 – Larsen (21)

■ Nottingham Forest – Manchester United 1:0 (1:0)

1:0 – Elanga (5)

Środowe mecze zakończone po zamknięciu wydania

Czwartek: Tottenham – Chelsea (21.00)

TO JEST SPISEK!

■ W Niemczech istnieje coś takiego jak Bielefeld-Verschwoerung, czyli Spisek bielefeldzki. To teoria spiskowa, która podaje w wątpliwość... istnienie Bielefeldu. Żart ów pojawił się w 1994 roku, a jego autorem jest Achim Held. Na forum internetowym opisał, jak na jednej z imprez spotkał osobę z Bielefeldu, ale dodał, że to niemożliwe, bo nie ma takiego miasta. Zwolennicy tej satyrycznej teorii kierują się zasadą trzech pytań: 1. Czy znasz kogoś z Bielefeldu? 2. Czy kiedykolwiek tam byłeś? 3. Czy znasz kogoś, kto

był? Jeśli ktoś odpowie twierdząco na co najmniej jedno, to znaczy, że jest powiązany z tajemniczą organizacją SIE (z niem. „oni”), która współpracuje z rządem. W 2019 roku władze Bielefeldu (jeśli naprawdę istnieją) zaofertowały milion euro za udowodnienie, że miasto... nie istnieje. Swego czasu zażartowała też z niego była kanclerz Angela Merkel, mówiąc w kontekście miasta w jednej z wypowiedzi: „o ile w ogóle istnieje”. Ciekawe więc, skąd tak naprawdę przyjedzie na finał Pucharu Niemiec Arminia?

(PTub)



Fot. PAP/PEA

Real Madryt z trudem wygrał dwumecz z Realem Sociedad.

Im strzelać nie kazano?

GKS Jastrzębie zmarnował szansę wydostania się z strefy barażowej, przegrywając u siebie z „czerwoną latarnią” tabeli.

BETCLIC 2. LIGA

Tradycji stało się zadość i Olimpia Elbląg po raz czwarty - w piątym podejściu - wywiozła z Jastrzębia-Zdroju komplet punktów. Do pełni szczęścia w zaległym spotkaniu 19. kolejki gościom wystarczyła celna „główka” Dawida Szałeckiego w 9 minucie.

W zespole Olimpii zabrakło podstawowego, 35-letniego bramkarza Andrzeja Witana, który w poprzednim meczu z Chojniczanką został ukarany czerwoną kartką i musiał pauzować w jednej kolejce. Jego miejsce między słupkami zajął niespełna 22-letni Włoch (ma również ukraińskie obywatelstwo) Alessio Valion. Bez cienia przesady można powiedzieć, że był on pierwszoplanową postacią w środowisku potyczce z GKS-em Jastrzębie.

Gospodarze po szybko straconej bramce przez resztę spotkania walili głową w mur, a jak wia-



Bramkarz Olimpii Elbląg Alessio Valion doprowadzał rywali do rozpacz, wychodząc z każdej opresji obronną ręką.

domo głową muru nie przebijesz. Tym murem był golkeeper Olimpii, który zimą przyszedł do Elbląga z trzecioligowej Floty Świnoujście, w której w rundzie jesiennej rozegrał 6 meczów. Wczoraj debiutował w 2. lidze i trener Karol Szweda może mieć

zgrzyz z wyborem numeru jeden w bramce w następnym meczu z Zagłębiem Sosnowiec. Gospodarze na potęgę marnowali okazje, a jak już udało im się wypracować dogodną, to Valion zawsze stawał na wysokości zadania, łapiąc lub odbijając piłkę. Naj-

bardziej spociał się broniąc strzały Farida Alego (42 min), Szymona Kiezbaka (55 min), Macieja Śliwy (69 min) i Jakuba Czerwika (73 min). Goście mogli zamknąć mecz w 93 minucie, ale Oleksandr Jacenko w dogodnej sytuacji trafił piłką w słupek.

OCENA MECZU ★★

GKS Jastrzębie
- **Olimpia Elbląg**

0:1 (0:1)

0:1 - Szałecki, 9 min (głową)

JASTRZĘBIE: Drazik - Iskra (85. Flak), Rogala, Szwiec - Masiak (67. Czerwik), Fietz, Ali (67. Śliwa), J. Piątek (75. Matysek), Kargul-Grobla - K. Piątek, Kiezbak (85. Jakuć). Trener Peter STRUHAR.

OLIMPIA: Valion - Semeniv (75. Kozera), Górecki, Wierzb, Matynia (31. Tiahlo) - Czernis, Lorenc, Szałecki (57. Czapliński), Zieliński (75. Jasiński), Skwierczyński (57. Jacenko) - Kordykiewicz. Trener Karol SZWEDA.

Sędziował Aleksander Borowiak (Poznań). **Widzów** 425. **Żółte kartki:** Kiezbak, J. Piątek - Czernis.

Piłkarz meczu - Alessio VALION.

- To było długo oczekiwane zwycięstwo na wyjeździe - powiedział trener Olimpii, Karol Szweda. - Był to dla nas bardzo ciężki mecz, ponieważ dobrze wiemy, że oba zespoły walczą o utrzymanie. GKS po zdobyciu przez nas bramki miał optyczną przewagę, lecz staraliśmy się ograniczyć jego sytuacje bramkowe. Ten mecz kosztował nas dużo energii, ale bardzo cieszymy się, że zakończył się naszym zwycięstwem.

- Przegraliśmy mecz, który powinniśmy wygrać - stwierdził szkoleniowiec GKS-u, Peter Struhar. - W pierwszej połowie stworzyliśmy osiem sytuacji, w których mieliśmy strzelić gola, w tym trzy po stałych fragmentach. Przeciwnik zademonstrował maksymalną efektywność,

1. Pogoń (b)	24	61	51:18
2. Wieczysta (b)	24	54	53:15
3. Polonia	23	51	47:21
4. Chojniczanka	24	43	32:20
5. Zagłębie (s)	24	36	37:36
6. Hutnik	24	36	30:41
7. Kalisz	24	35	25:26
8. Świt (b)	24	33	39:40
9. Podbeskidzie (s)	24	30	26:28
10. ŁKS II	24	30	29:36
11. Resovia (s)	23	28	33:39
12. Olimpia G.	24	26	28:33
13. Wista	24	24	29:46
14. Jastrzębie	24	23	24:28
15. Rekord (b)	23	23	34:42
16. Zagłębie II	23	21	37:43
17. Skra	24	18	21:41
18. Olimpia E.	24	17	21:43

1-2 - awans, 3-6 - baraże o awans, 13-14 - baraże o utrzymanie, 15-18 - spadek

bo stworzył jedną sytuację, którą wykorzystał, a potem dobrze bronił.

Bogdan Nather

Nieprawdopodobna seria

Rozmowa z **Janem Wosiem**, trenerem Unii Turza Śląska

Tak z ręką na sercu, ma pan w zespole chociaż jednego napastnika z prawdziwego zdarzenia?

- Na to pytanie odpowiem w ten sposób - napastnik broni się strzelonymi golami, a my w tym roku w pięciu meczach nie zdobyliśmy ani jednej bramki.

Przed laty takie samo pytanie zdałem znakomitemu snajperowi, jakim bez dwóch zdań był nieżyjący już Jan Furtek, gdy prowadził GKS Katowice. „Furgo!” uśmiechnął się szeroko i mrużąc oko zapytał: „Mom się sebylc?”. Pan też mógłby to powiedzieć do swoich zawodników?

- Nie byłem wybitnym snajperem, ale na poziomie centralnym, czyli w ówczesnej 1. i 2. lidze, strzeliłem 50 goli. Nie byłem jednak napastnikiem, tylko bocznym pomocnikiem. Wracając zaś do pytania - w meczach rozegranych w tym roku stworzyliśmy trochę sytuacji i mogliśmy, co tam mogliśmy - powinniśmy strzelić kilka goli. Z rezerwami Śląska Wro-

claw dwukrotnie trafiliśmy w słupek, z Karkonoszami Jelenia Góra „ostemplowaliśmy” poprzeczkę, natomiast w spotkaniu z Podlesianką Katowice nie wykorzystaliśmy rzutu karnego. Jak więc widać, kilka okazji mieliśmy. „Jedenastki” nie wykorzystał nasz najlepszy strzelec, czyli Papu Mendes.

Nie chcę być nietaktowny, ale skoro w pięciu meczach rozegranych w tym roku nie strzeliliście gola, to chyba źle świadczy o was, o wyjątkowej anemii strzeleckiej. Naprawdę ma pan aż tak słaby zespół?

- Zacznę od tego, że w tej rundzie mamy zupełnie nowy zespół, co nas oczywiście do końca nie tłumaczy. Zimą odeszli od nas piłkarze, którzy strzelali najczęściej goli - Sławomir Musiolik i Jakub Kuczera. W poprzednim sezonie Unia strzeliła w 3. lidze 50 goli, w tej chwili mam w kadrze zdobywców sześciu z nich. Killian Benvindo strzelił wówczas 4 bramki, Dominik Klimkiewicz i Michał Mazur po jednej. To pokazuje dobitnie skalę naszych problemów.

Nawet najslabsza w tej rundzie - bez zdobyczenia punktownej - Polonia Słubice strzeliła trzy gole. Czy po pańskich zawodnikach spływa to jak po kaczkach, czy też przejmują się swoją indolencją strzelecką?

- Nawet dzisiaj (rozmawialiśmy we wtorek wieczorem - przyp. BN) podczas odpawy przed treningiem zastanawialiśmy się, co nas blokuje? Okazało się, że po każdej kolejnej porażce moim zawodnikom towarzyszy coraz większy stres, są zniechęceni i bojaźliwi na boisku.

Cały czas zachodzę w głowę, jakim cudem zdołaliście bezbramkowo zremisować z rezerwami Śląska Wrocław, liderem III grupy 3. ligi. Przeciwnik was zlekceważył, czy to wy wznieśliście się na wyżyny swoich umiejętności i możliwości? Wspomniał pan wcześniej o dwóch słupkach, więc może byliście nawet bliżej wygranej?

- Tak daleko bym się nie posunął, ponieważ Śląsk też miał okazję do zdobycia gola. Przeciwnik górował nad nami w walce w powietrzu. Wrocławianie byli groźni

zwłaszcza przy stałych fragmentach gry, skakali bardzo wysoko, zwłaszcza ich środkowy obrońca. Byłem zadowolony, że w tym spotkaniu nie straciliśmy bramki. Natomiast w pozostałych meczach tylko dwa gole straciliśmy po akcjach, pozostałe po stałych fragmentach gry, czyli wrzutach z autu i rzutach rożnych. Oba gole ze Stilonem Gorzów Wielkopolski straciliśmy po wznowieniu gry z autu! Błędy, które popełniliśmy nie powinny przydarzać się na tym poziomie, nam się jednak przytrafiły. I jeszcze jedna refleksja - nigdy jako zawodnik, asystent trenera, czy trener, nie zdarzyło mi się, by w pięciu meczach z rzędu nie strzelić ani jednego gola!

Wierzy pan jeszcze w utrzymanie w 3. lidze? Do bezpiecznej strefy pański zespół traci już 8 punktów...

- Większym problemem jest fakt, że na ten moment do naszej grupy spadną aż cztery zespoły z 2. ligi! Czyli z 3. ligą pożegna się aż siedem drużyn! Ale wspólnie z moim asystentem Marcinem Malinowskim nie przejmujemy się tym, na co nie mamy



Jan Woś jest zdruzgotany, że jego drużyna w pięciu meczach z rzędu nie strzeliła gola.

wplywu. Skupiamy się tylko na najbliższym meczu i tym, by w końcu strzelić gola. „Malina” słusznie zauważył, że przecież nikt nie zabroni nam wygrać jedenastu meczów z rzędu...

Zapytam przekornie, czy do końca bieżących rozgrywek uda wam się wygrać jakiś mecz? Może z wywołaną wcześniej do tablicy Polonią Słubice, z którą zmierzycie się w najbliższej kolejce?

- W Słubicach zapewne myślą - kiedy, jak nie teraz? W tym roku ponieśli pięć porażek, mają bilans bramkowy 3:15, lecz to o niczym nie świad-

czy. Analizuję ich występy, to drużyna walcząca do końca. W meczach z rezerwami Miedzi Legnica, Górnika Zabrze czy Górnikiem Polkowice gole decydujące o porażce stracili dopiero w doliczonym czasie gry!

Do końca sezonu wszystkie domowe mecze będziecie rozgrywali w Wodzisławiu Śląskim?

- To będzie różnie, ponieważ Odra też gra u siebie w terminach „kolizyjnych” z naszymi. Ponadto nasze boisko zaczyna się już zielenić, jest coraz lepsze, więc dlaczego mamy rezygnować z tego atutu?

Rozmawiał Bogdan Nather

Wielkie rozczarowanie

Marzenia mistrzów Polski o ćwierćfinale Ligi Mistrzów przepadły w Bretanii. O porażce w Nantes zdecydowała przespana pierwsza połowa.

To musi być wyjątkowy mecz, w pieliknej atmosferze naszej hali. I tego właśnie będziemy potrzebować - podkreślał obrotowy gospodarzy Nicolas Tournat, który przez lata reprezentował barwy największego polskiego adwersarza „Nafciarzy”, Industrię Kielce. Mistrzowie Polski odpowiadali na to, że ich celem jest nie tylko obrona zaliczki (28:25) z Orlen Areny, ale zwycięstwo. Obojętnie jak i bez względu na temperaturę w Hall XXL de la Beaujoire La Trocardiere.

Dziwny przestój

Mecz o życie w Bretanii zapowiadał się fascynująco. Niestety, już po 5 minutach wicemistrzowie Francji odrobili straty z Płocka, a kapitałnie wszedł w to spotkanie Ivan Pesić odbijając rzut za rzutem. Po tak fatalnym początku musiał zareagować Xavier Sabate, bo rozpędzeni gospodarze mieli już 5 bramek przewagi. Minutowa przerwa obudziła „Biało-niebieskich”, ale na krótko. Francuzi z każdą akcją nabierali pewności siebie, a mistrzowie Polski odwrotnie. Popelniali błąd za błędem, przez 9 minut nie rzucili bramki, a stracili 5. Na 4 sekundy przed końcem pierwszej połowy żółtą kartkę zobaczył hiszpański szkoleniowiec Orlen Wisły, a Francuzom wystarczyło

240 sekund, by po raz 17. wpakować piłkę do bramki. Do przerwy polski zespół przegrywał w zatrważających rozmiarach, a jeszcze tragiczniej prezentowała się gra wiślaków, a przede wszystkim ich skuteczność, zaledwie 20-kilku procentowa. Zdawaliśmy sobie sprawę, że mistrzów Polski czeka trudne spotkanie, ale że już po 30 minutach trzeba będzie porzucić nadzieję, a autostrada do ćwierćfinału zostanie praktycznie zamknięta, nie przewidywał najczarniejszy scenariusz.

Kwadrans emocji

Po przerwie na parkiecie pojawił się Mirko Alilović i wreszcie coś plocka bramka zaczęła odbijać, ale że chorwacki vis a vis był w kosmicznej dyspozycji, więc wynik nadal rósł. Żal

było patrzeć na Przemysław Krajewskiego i jego kolegów popełniających juniorskie wręcz błędy. Ostatnie 15 minut przyniosły jednak emocje, na które czekaliśmy przez trzy kwadransy. Francuzi zaczęli słabnąć w oczach. Pesić już tak nie bronił, za to raz za razem z prawego skrzydła trafiał Filip Michałowicz. Wiślaczy mozolnie odrabiali straty i to co wydawało się niemożliwie, nabierało realnych kształtów. W końcówce gospodarze grali na czas, kradli sekundy i dowieźli swoje marzenia do końcowej syreny. Niestety, zryw mistrzów Polski nastąpił za późno, by znaleźć się w ósemce najlepszych europejskich teamów. Będzie w niej Nantes, które w 1/4 finału zagra ze Sportingiem Lizbona.

Zbigniew Ciećciała

■ HBC Nantes - Orlen Wisła Płock 29:24 (17:8)

W pierwszym meczu 25:28; awans Nantes

NANTES: Pesić, Biosca - Milosavljević, Briet 4, Yoshida, Rivera 5/2, Abdi 6, Avelange, Tournat 2, Bos 5, Gaber 2, Nyateu 2, Noam 1, Odriozola 2, Nassequela. Kary: 12 min. Trener Gregory COJEAN.

ORLEN WISŁA: Hallgrímsson, Alilović - Daszek 3, Piroch 5/4, Janc 1, Sordio, Susnja 3, Zarabec, Fazekas 2, Krajewski, Terzić (CZK, 50 min - atak na twarz), Dawydzik, Mihić, Szita 4, Michałowicz 6, Żytnikow. Kary 8 min. Trener Xavier SABATE.

Sędziowali: Dimitar Mitrevski i Blagojce Todorovski (Macedonia). Widzów 5902.

Przebieg meczu: 1:0 (1), 1:1 (2), 6:1 (7), 6:3 (11), 9:4 (15), 10:6 (21), 15:6 (28), 16:8 (29), 17:8 (30), 17:9 (31), 21:10 (40), 22:15 (45), 24:16 (48), 25:18 (53), 29:24 (30).

■ SC Magdeburg - Dinamo Bukareszt 35:29 (21:10); w pierwszym meczu 30:26; awans Magdeburga, którego rywalem w 1/4 finału (24 kwietnia i 1 maja) będzie One Veszprem.



W akcji najskuteczniejszy w ekipie gospodarzy Ayoub Abdi.



Ośmioma bramkami Szymon Sićko udowodnił, że wrócił do wysokiej formy.

Berlin niezdobyty

Szczypiorniści Industarii Kielce podeszli całkiem blisko Bramy Brandenburskiej, ale zostali zawróceni w samej końcówce i w ćwierćfinale Ligi Mistrzów ich zabraknie.

Ze spuszczoną głową, powoli... A nie, nie tak to leciało, bo akurat po końcowej syrenie rewanżowego meczu 1/8 finału Ligi Mistrzów zawodnicy Industarii Kielce głowy mogli trzymać wysoko. Mogli też zbijać piątki i dziękować licznej, a przede wszystkim dobrze słyszalnej w Max-Schmeling-Halle, grupie swoich fanów.

Już byli w ogródku...

Tym razem przyszło im zremisować z Fuchse Berlin, co z pewnością wstyd nie przynosi, ale też nie daje radości. Można zaryzykować tezę, że szansę na awans do ósemki zostały pogrzebane przed tygodniem w Hali Legionów, gdzie kielczanie przegrali 27:33. Sześć bramek straty można odrobić, ale w - nic nikomu nie ujmując - w Orlen Superlidze czy Lidze Centralnej, a nie w Lidze Mistrzów, gdzie spotykają się silne i wyrównane zespoły. - Wyjdziemy na boisko przy stanie 0:0 i będziemy walczyć. Dopóki są szanse, to trzeba wierzyć w zwycięstwo i walczyć z całych sił, by po końcowej syrenie nie mieć sobie nic do zarzucenia - mówił trener Tałant Dujszabajew, ale jednocześnie dawał swej drużynie 1 procent szans na awans. Kirgiz wiedział co mówi, bo jest zbyt doświadczonym trenerem i nie takie rzeczy widział, ale we wczorajszy wieczór nieco się zagalopował pod

względem taktycznym. O ile desygnowanie do rzutu karnego kompletnie nierozgrzanego Cezarego Surgiela, który w 43 minucie - przy stanie 29:28 - dla Industarii pozwolił na interwencję Dejanowi Milosavljevowi, można podarować, o tyle decyzję o grze siódmką w polu od 55 minuty już trudno zrozumieć. Wiadomo, wicemistrzowie Polski prowadzili wtedy 35:32 i musieli zaryzykować w dążeniu do zdobycia kolejnych bramek. Już byli w ogródku, ale przegonili ich z niego Lase Anderson i Mijajlo Marsenic. Obaj przejęli piłkę po złych podaniach Hassana Kaddacha niespełna minuty rywale załapali kontakt. W tym momencie z kielczan jakby uszło powietrze, bo trafienia Arstema Kareleka i Daniele Dujszabajewa jedynie „przypudrowały” wynik.

Gdyby nie Gidsel

Mecz od początku był szybki, zacięty i wyrównany. Bramkarze nie mieli wiele roboty, bo mimo usilnych starań oddbijali nie wiele piłek. Jedni i drudzy

nie mieli zamiaru się patyczkować. Gra była więc często przerywana, a sędziowie równo odsyłali zawodników na 2-minutowe kary. Pozwalali na ostrą walkę, przymykali oczy na bezpardonowe ataki, uśmiechali się na próby zapasniczych wózków, a także symulowanie ataków na twarz. Pierwsza połowa należała bezwzględnie do Matiasa Gidsela. Najlepsi obecnie szczypiornista świata dzielili i rządził na prawej połówce rozegrania, brał ciężar gry na siebie, popisywał się zwodami, a przede wszystkim trafiał do siatki. W ciągu premiowych 30 minut zdobył 10 bramek, kończąc wszystkie (!) swoje akcje. Taki zawodnik jak 26-letni Duńczyk to prawdziwy skarb. Kielczanie sposób na niego znaleźli dopiero w drugiej połowie. Dopuszcili do oddania zaledwie 3 rzutów i zmusili do błędu technicznego. Odejmuje tuzin bramek zdobytych przez Gidsela, do dwumeczu z Aalborgiem w 1/4 finału szykowaliby się kielczanie.

Marek Hajkowski

■ Fuchse Berlin - Industria Kielce 37:37 (21:24)

W pierwszym meczu 33:27; awans Fuchse Berlin

BERLIN: Milosavljev, Ludwig - Prantner 2, Gidsel 12, Lichtlein 6/1, Herburger 2, Andersson 6, Freihoefer 3/2, Marsenic 2, Strlek 1, Langhoff 1, Darj 1, Teigum 1, Wiede, Beneke. Kary: 10 min. Trener Jaron SIEWERT.

KIELCE: Wałach, Cordalija - Kounkoud 6, A. Dujszabajew 4, Olejniczak 1, Karalek 1, Sićko 8/4, Nahi 5, D. Dujszabajew 4, Maqueda 3, Kaddah 3, Monar 2, Surgiel, Gębala. Kary: 14 min. Trener Tałant DUJSZABAJEW.

Sędziowali: Bojan Lah i David Sok (Słowenia). Widzów 8819.

Przebieg meczu: 0:1 (1), 3:4 (5), 7:8 (9), 11:11 (14), 17:15 (21), 18:20 (26), 21:37 (30), 25:26 (33), 25:27 (38), 28:28 (41), 29:31 (48), 31:35 (54), 37:37 (60).

Tychy się rozkręcają

Przed ostatnią kolejką sezonu zasadniczego nadal jest wiele niewiadomych.

LIGA MĘŻCZYZN

Wsobotę na parkiet wybiegną pierwszoligowe zespoły w dziewięciu halach. To będzie ostatni akord sezonu zasadniczego. Niewiadomych wciąż jest bardzo wiele. Na czele tabeli trwa zacięta walka o rozstawienie z jedyneką w play off. Przed ostatnią kolejką prowadzi Miasto Szkła Krosno, które o punkt wyprzedza bydgoską Astorię. Ale może się to zmienić, bo zespół z Podkarpacia zagra w ostatnim pojedynku w Inowrocławiu z Notecią, która walczy o play off. Ewentualne potknięcie może wykorzystać Astoria podejmująca jedenastą w tabeli Starogard. Bydgoszczanie w ten weekend pokonali rezerwy Śląska, które wzmocniły się Adrianem Boguckim i Błażem Kulikowskim (obaj z pierwszej drużyny). - Mecz ze Śląskiem był dla nas takim egzaminem przed play offem. To było spotkanie z cyklu, gdy jedna zbiórka czy jeden trafiony layup decyduje o zwycięstwie - komento-



Sebastian Bożenko to jeden z liderów GKS Tychy.

wał Grzegorz Skiba, trener Astorii.

B y d g o s z c z a n i e w bezpośrednim dwumeczu z Miastem Szkła mają lepszy bilans małych punktów, w razie potknięcia rywali w ostatniej kolejce miną ich w tabeli.

Niespodziewanie na koniec sezonu do czołowej czwórki wdarł się GKS Ty-

chy. W ostatnim wygranym spotkaniu z Żakiem Koszalin popis dał Sebastian Bożenko, który zdobył 26 punktów, zza łuku trafił 4 z 5 rzutów. Miał też po 3 zbiórki i asysty oraz 2 przechwyty. Kilka dni wcześniej tyszanie niespodziewanie przywieźli komplet punktów znad morza, w Kołobrzegu ograli Kotwicę, uwa-

żaną za jednego z faworytów do awansu. W trzeciej kwarcie ekipa ze Śląska pozwoliła rywalom zdobyć... 4 punkty! bohaterem spotkania był rozgrywający GKS-u Tomasz Śnieg. 36-latek zdobył 18 punktów, zebrał 9 piłek, miał też 5 asyst. GKS przed rokiem zajął rewelacyjne trzecie miejsce po play offie, teraz

najwyraźniej znów chce sprawić niespodziankę.

Wciąż nie jest jasne, które drużyny zajmą dwa ostatnie miejsca w play off. Na razie bezpieczne lokaty okupują Noteć i Kotwica, ale dziewiąty ŁKS też ma chrapkę na dalszą grę. Najłatwiejsze zadanie zdaje się mieć zespół z Kołobrzegu, który podejmuje sopocian (już spadli z ligi), najtrudniej ma Noteć grająca z liderami z Krosna.

Na samym dole tabeli trwa z kolei zacięta rywalizacja o utrzymanie. Nic nie uratuje zespołów z Sopotu i Radomia, ale trzecie miejsce nadal nie jest obsadzone. Trzy drużyny mają obecnie identyczny bilans - w Koszalinie, Opolu i Wrocławiu mocno pracują przed ostatnią kolejką. Tylko Żak gra w hali rywalizacji (w Warszawie z Polonią), a Śląsk (z tyszanami) i Weegee AZS Politechnika (z Decką Pelplin) wystąpią na swoich parkietach.

Trudno wskazać faworyta w tym wyścigu. Wszystkie sobotnie mecze zaczynają się o godzinie 18.00.

(p)

Gdynia kontra Gorzów w finale!

Znowu sensacja! Po pięciu meczach do wielkiego finału awansował zespół z Gorzowa Wielkopolskiego.

ORLEN BASKET LIGA KOBIEC

WKGHM Ślęza Arena we Wrocławiu gospodynie spotkały się z Akademickimi z Gorzowa Wielkopolskiego. Oba zespoły przystąpiły do piątego spotkania mocno zmęczone, a zawodniczki obu drużyn poobijane. - Jesteśmy zranieni, jesteśmy już po prostu prawie martwi, ale jak takiego ранnego zwierza się podrażni, to ten zwierz jeszcze może pokazać swoje zęby - obrazowo mówił trener przyjezdnych Dariusz Maciejewski. Stawka meczu była tak ogromna, że zawodniczkom obu drużyn groziły ręce przy rzutach. Gospodynie przez 20 minut pierwszej połowy zdobyły... 20 punktów, gorzowianki ledwie o 5 "oczek" więcej. Po dwóch kwartach Ryan i Kurach trafiły po jednym rzucie na 7 oddanych, z drugiej strony Walker spudłowała wszystkie 5 prób, a Lebiec-ka miała bilans 0/3.

W trzeciej kwarcie losy meczu odwróciły się na korzyść gdynianek. Wszystkie za sprawą dobrej gry Schaquilli Nunn, która po 30 minutach miała już na koncie double double (14 punktów, 12 zbiórek). Ale w ostatniej części gorzowianki nie poddały się - za sprawą Shatori Walker i Gabrieli Lebieckiej szybko odskoczyły na 9 oczek (57:48). W ostatnich sekundach meczu dwie trójki trafiła Aleksandra Mielnicka, doprowadzając do dogrywki! W dodatkowych 5 minutach prowadzenie zmieniało się kilkakrotnie, ale finalnie sukces zapewniły sobie zdeterminowane zawodniczki z Gorzowa!

Na zwycięzcę od soboty czeka już VBW Gdynia. Pierwsze mecze finałowe w sobotę i niedzielę na Pomorzu.

IKS Ślęza Wrocław - Polska-Strefalnwestycji Enea AJP Gorzów Wlkp. 75:78 po dogrywce (9:11, 11:14, 26:18, 20:23, d. 9:12) stan rywalizacji: 2-3 (awans Gorzów Wlkp.).

WROCLAW: Hjern, Gajda 6 (1x3), Ryan 15 (1x3), Strautmene 6, Kurach 5 - Nunn 21, Pyka 3 (1x3), Mielnicka 19 (3x3). Trener Arkadiusz RUSIN. **GORZÓW WLKP.:** Tsineke 24 (3x3), Gertchen 16 (4x3), Walker 21 (1x3), Lebiecka 12, Śmiełek 5 - Kuczyńska, Kobylińska. Trener Dariusz MACIEJEWSKI.

(p)

LIGA AKADEMICKA NCAA

FINAL FOUR BEZ MILICICIA JUNIORA

■ Znamy komplet drużyn, które wystąpią w zbliżającym się Final Four ligi akademickiej NCAA. 6 i 7 kwietnia w San Antonio zobaczymy Duke Blue Devils, Houston Cougars, Auburn Tigers i Florida Gators. To zespoły rozstawione z jedynekami w poszczególnych konferencjach. Polscy kibice śledzili losy Tennessee Volunteers, w których składzie występuje reprezentant naszej kadry Igor Milicić junior. Jednak w finale rozgrywek Midwest Volunteers wyraźnie przegrali z Houston Cougars 50:69. Milicić przebywał na parkiecie 19 minut, zdobył 2 punkty, zebrał z tablic 5 piłek. - Wyszli agresywnie, a naprawdę trudno wyjść z dotyka, gdy jest się tak głęboko. Naciskaliśmy i myślę, że w drugiej połowie byliśmy lepszą drużyną. Z tak świetną ekipą jak Houston trudno jest jednak odrobić 19-punktową stratę - komentował po meczu Milicić. W półfinałach zmierzą się Duke z Houston oraz Auburn z Florydą. Wielki finał rozgrywek zaplanowano na 7 kwietnia w potężnej hali Alamodome w San Antonio. Przed rokiem w Glendale w Arizonie UConn Huskies pokonali w meczu o tytuł Purdue Boilermakers. MVP wybrano Tristena Newtona z UConn. (p)

Wielki popis Curry'ego i Jokicia

Kary za wielką bijatykę podczas meczu w Minneapolis okazały się bardzo łagodne. Na parkiecie cudów dokonali Stephen Curry i Nikola Jokić.

NBA

Wielka bójka, do której doszło w Target Center w Minneapolis podczas meczu Minnesota - Detroit, wywołała duży oddźwięk w koszykarskim środowisku. Zaraz po zdarzeniu sędziowie zdecydowali się wyrzucić łącznie aż pięciu zawodników i dwóch trenerów. Byli to: Donte DiVincenzo, Naz Reid, Ron Holland, Isaiah Stewart, Marcus Sasser, pierwszy trener Pistons J.B. Bickerstaff oraz asystent trenera Timberwolves Pablo Prigioni. Po kilku dniach zareagowały władze ligi - trzech koszykarzy Detroit Pistons i dwóch Minnesoty Timberwolves zostało zawieszonych. Środkowy "Tłoków" Stewart otrzymał najsurowszą karę - dwumeczowy zakaz gry. Jego koledzy z drużyny Marcus Sasser i Ron Holland II nie będą mogli zagrać w jednym spotkaniu. Podobną karę otrzymali Donte DiVincenzo i Naz Reid z Minnesoty.

Jak wynika z oświadczenia Stewart otrzymał dłuższy zakaz występów ze względu na „powtarzającą się historię niesportowych zachowań”.

Kary wydają się jednak łagodne. - Podobne bójki w niedawnych czasach skutkowały zawieszaniem na poziomie od dwóch do czterech meczów - przyznawał prestiżowy Sports Illustrated.

Wtorek 1 kwietnia przejdzie do kronik historii. Po raz pierwszy jednego wieczoru dwóch byłych MVP zdobyło co najmniej 50 punktów. Stephen Curry dał popis w spotkaniu w Memphis. Lider Golden State błyszczał od pierwszej minuty, dwanaście razy trafił za trzy, w sumie zanotował 52 „oczka"! Był bliski triple double, bo miał również 10 zbiórek i 8 asyst. - Wystarczył tydzień wolnego oraz dwa sparingi w golfa - uśmiechał się potem trener Steve Kerr pytany o rewelacyjną dyspozycję swojej

gwiazdy. Warriors wygrali i minęli Grizzlies w tabeli. Teraz to oni są na piątym miejscu w Konferencji Zachodniej.

Gdy wydawało się, że nikt nie przebijie wyczynu Curry'ego do akcji przystąpił Nikola Jokić. Nuggets w Ball Arena w Denver podejmowali desperacko walczących o play off gości z Minnesoty. Do wykorzystania zwycięzcy potrzebne były aż dwie dogrywki, ostatecznie po dwóch osobistych Nickeila Alexandra-Walkera na 0.1 sekundy przed końcem drugiego dodatkowego czasu wygrali przyjezdni. Ale ten mecz będzie zapamiętany dzięki nieprawdopodobnej grze Jokicia. Serb ustrzelił aż 61 punktów, zanotował przy tym triple double, bo miał jeszcze 10 zbiórek i 10 asyst. Po raz pierwszy w dziejach NBA ktoś dał radę zaliczyć potrójne zdobycze dwucyfrowe przy zdobytych 61 punktach. Dotychczas liderami tej

statystyki byli Luka Dončić i James Harden, którzy zdobywali 60 punktów.

61 zdobytych punktów to rekord kariery 30-latk. To był prawdopodobnie jego najlepszy mecz na boiskach NBA. Jeden z portali zajmujących się statystyką zauważył, że Jokić jest pierwszym zawodnikiem od czasów Michaela Jordana, który zdobył co najmniej 60 punktów w meczu trwającym co najmniej 50 minut. Na pomeczowej konferencji prasowej Serb tradycyjnie skromnie podszedł do swojego wyczynu. Porównał wtorkowe osiągnięcia do tego, co robią jego ukochane konie. - Konie są jak sportowcy, one w dużym stopniu są do nas podobne. Rodzimy się, by to robić. Od małego trenujemy. One się rodzą, by biegać, a my, by grać - komentował Jokić.

Wyniki: Memphis - Golden State 125:134, Milwaukee - Phoenix 133:123, New York - Philadelphia 105:91, Atlanta - Portland 113:127, Chicago - Toronto 137:118, San Antonio - Orlando 105:116, Denver - Minnesota 139:140.

(p)

Heroiczna porażka

Asseco Resovia dwukrotnie obejmowała prowadzenie, ale pierwszy mecz finałowy dla Ziraatu Bankasi Ankara.

PUCHAR CEV

Rzeszowianie to obrońcy trofeum. Do finału awansowali w wielkim stylu, bez porażki, ale w nim czekało na nich wielkie wyzwanie. Ziraat to klasowa ekipa, mająca w składzie Trevora Clevelanda oraz Matthew Andersona, czyli graczy z najwyższej światowej półki. Uzupełniają ich reprezentanci Turcji i niedoceniany Holender Wouter Ter Maat.

Plan gospodarzy był bardzo prosty. Liczyli na wygraną 3:0 lub 3:1, co dałoby im sporą zaliczkę przed rewanżem w Ankarze (9 kwietnia).

Spotkanie od początku było bardzo wyrównane. Po stronie Ziraatu kapitalnie spisywał się Ter Maat. Atakujący nawet w najtrudniejszych sytuacjach nie zawodził. Kończył wszyst-

ko. Miał przy tym sporo szczęścia, bo kilka razy rzeszowianie złapali go blokiem, ale piłka minimalnie lądowała poza polem gry. Poziom trzymał też Anderson. Słabiej natomiast spisywał się Cleveland. Mistrz olimpijski z Tokio i Paryża nie był sobą. Na przyjęciu nie zawsze potrafił utrzymać dokładność, a do ataku szedł bardzo rzadko. Miał za to sposób na zatrzymanie kolegi z reprezentacji Francji Stephena Boyera. Atakujący Asseco Resovii to gracz bezkompromisowy. Nie stosuje półśrodków, idzie na całość i... kilka razy mocno się zdziwił, gdy bo blokach Clevelanda piłka błyskawicznie spadała mu pod nogi. Po stronie miejscowych, przy zmiennej formie Boyera, ciężar gry wzięli więc na siebie Lukas Vasina oraz Klemen Cebulj.

Wymiana ciosów trwała w najlepsze. Żadna z dru-

żyn nie potrafiła wywalczyć większej przewagi niż 2-3 punkty. Losy pierwszego seta decydowały się w końcówce. W grze na przewagi więcej zimnej krwi zachowali gospodarze. Decydujący punkt zdobyli, bo Boyer pojedynczym blokiem zatrzymał Andersona.

Kolejne odśrody były podobne i równie dramatyczne. Kibice się nie nudzili. Podziwiali potężne ataki i efektowne obrony. Siatkarze się nie oszczędzali. W każdą akcję wkładali całe serce. O powodzeniu akcji decydowały drobne elementy: dokładniejsze przyjęcie zagrywki, mocniejszy atak, sprytniejsze zachowanie w walce na siatce... W efekcie zespoły wygrywały sety na zmianę i zwycięzcę miał wyłonić tie-break.

Goście dwukrotnie w nim odskakiwali (5:1, 13:10), ale rzeszowianie



Klemen Cebulj (z prawej) przeciwko Ziraatowi zostawił na parkiecie mnóstwo zdrowia.

nie załamywali się i po heroicznym boju odrabiali straty. Cebulj za poświęcenie zapłacił skurczem mięśnia łydki. Ból był tak duży, że musiał przedwcześnie opuścić parkiet.

Był remis 14:14, ale to Asseco Resovia wprowadziła piłkę do gry, co dawało przewagę Ziraatowi. Rzeszowianie dzielnie odpowiadali, broniąc cztery piłki meczowe. Przy piątej nie dali rady. Serwował Murat Yenipazar. Piłka otarła

się o siatkę, wyhamowała i wpadła w parkiet. Żaden z miejscowych graczy nie miał siły, by w porę zareagować.

(mic)

FINAL - I. MECZ

Asseco Resovia – Ziraat Bankasi Ankara 2:3 (27:25, 21:25, 25:23, 23:25, 17:19)

Rewanż 9 kwietnia w Ankarze
RZESZÓW: Ropret (2), Vasina (20), Woch (10), Boyer (22), Cebulj (17), Kłos (7), Potera (libero) oraz Bucki (1), Sta-

szewski, Kozub. Trener Tuomas SAMMELVUO.

ANKARA: Yenipazar (6), Anderson (28), Savas (6), Ter Maat (28), Cleveland (10), Bulbul (9), Bayraktar (libero) oraz Stern. Trener Mustafa KAVAZ. Sędziowali: Ilian Georgiew (Bułgaria) i Mauro Carlo Goitre (Włochy). Widzów 4200.

Przebieg meczu

I: 10:8, 14:15, 19:20, 25:24, 27:25.
II: 6:10, 12:15, 17:20, 21:25.
III: 8:10, 15:14, 20:17, 25:23.
IV: 9:10, 14:15, 18:20, 23:25.
V: 1:5, 8:10, 14:15, 17:19.

Bohater – Matthew ANDERSON.

WOKÓŁ SIATKI

POLACY W OLSZTYNIE

■ Reprezentacja Polski siatkarzy zagra 12 lipca w nowej hali w Olsztynie mecz towarzyski z Iranem. Będzie to pierwsze od 17 lat spotkanie Biało-czerwonych rozgrywane w tym mieście. Sebastian Świdorski, prezes Polskiego Związku Piłki Siatkowej, podkreślił, że Olsztyn – jako miasto z siatkarskimi tradycjami i występującą w ekstraklasie drużyną Indykpolu AZS – zasługuje na rozgrywanie spotkań reprezentacji. Przyznał, że w nowej hali był tylko raz – na meczu ligowym, ale dodał, że jest pod wielkim wrażeniem tego obiektu.

Olsztyński poseł Paweł Papke, były siatkarz i członek zarządu PZPS, wyraził nadzieję, że w kolejnych latach stolica Warmii i Mazur będzie gościć również reprezentację żeńską i wiele innych imprez związanych z piłką siatkową. Przypominał, że reprezentacja siatkarzy wraca tutaj po 17 latach. Poprzednie mecze rozgrywała w starej hali Urania podczas Memoriału Huberta Wagnera. Pierwsze sześć edycji tego turnieju (w latach 2003-08) odbyło się właśnie w Olsztynie.

AKCES ZŁOŻONY

■ Poznaliśmy pierwszoligowe drużyny, które zgłosiły chęć udziału w przyszłorocznych rozgrywkach Tauron Ligi i PlusLigi. Zgodnie bowiem z Regulaminem Profesjonalnego Współzawodnictwa w Piłce Siatkowej, kluby chcące występować w elicie powinny oficjalnie zadeklarować to do 31 marca. W przypadku Turon Ligi tak zrobili LOS Nowy Dwór Mazowiecki, KSG Warszawa i KS Piłka. Deklarację uczestnictwa w rozgrywkach PlusLigi złożył natomiast: CHKS Chełm, Lechia Tomaszów Mazowiecki, Czarni Radom, BBTS Bielsko-Biala, KPS Siedlce oraz Vista Bydgoszcz.

Złożenie oficjalnego akcesu nie oznacza awansu, bowiem trzeba też spełnić wymogi licencyjne, a najważniejszym kryterium jest wygranie I-ligowych rozgrywek. Wnioski będą weryfikowane przez Polską Ligę Siatkówki pod kątem spełnienia warunków uczestnictwa w Tauron Lidze i PlusLidze. Do 31 maja zarząd PLS przedstawi radzie nadzorczej wniosek o dopuszczenie nowego klubu do rozgrywek, a ostateczna decyzja zapadnie do 30 czerwca.

CZWÓRKA DO MISTRZOSTW

■ Serbia, Czarnogóra, Chorwacja i Węgry chcą wspólnie zorganizować mistrzostwa Europy siatkarzy w 2028 roku. O takim zamiarze poinformowali Zoran Gajić, minister sportu Serbii, oraz Dragoslav Szečić, minister sportu i młodzieży Czarnogóry po spotkaniu w Podgoricy, w którym uczestniczył również prezydent CEV Roko Sikirić. – Z wielką przyjemnością informuję, że podczas spotkania z udziałem prezydenta CEV poruszaliśmy temat organizacji siatkarskich mistrzostw Europy w 2028 roku. Oczekujemy, że wspólnie z Serbią, Chorwacją i Węgrami zorganizujemy to wydarzenie. Wiele znaczyłoby to dla naszego kraju, naszego sportu, naszej drużyny narodowej, ale także dla promocji naszej oferty turystycznej – powiedział Szečić.

WŁOSKA DOMINACJA

■ Igor Gorgonzola Novara wywalczyła Puchar CEV siatkarów. W finale dwukrotnie pokonała rumuński CV Alba Blaz, przed tygodniem we własnej hali 3:1 i w rewanżu 3:0 (30:28, 25:17, 28:26). Najlepszą zawodniczką meczu była Tatiana Totok. Atakująca zespołu z Novary zdobyła 22 punkty, z czego aż 16 w pierwszym secie.

(mic)

Faworyt się hartuje

Jako podwójni z rzędu mistrzowie Polski nie myślimy o półfinale, lecz o tym, aby dotrzeć do najważniejszego grania, czyli o złoto – podkreślił Jakub Popiwczak, libero JSW Jastrzębskiego Węgla.

PLUSLIGA

Jastrzębianie, jak przystało na mistrzów Polski, jako pierwsi zapewnili sobie grę w półfinale. Potrzebowali dwóch meczów, by wyeliminować ósmy po sezonie zasadniczym Team Hemarpol Norwid Częstochowa. Pierwsze spotkanie w Jastrzębiu-Zdroju wygrali pewnie 3:0, ale rewanż miał już inne oblicze. Gospodarze mocno się bowiem postawili, zmuszając faworyzowanych gości do gry na najwyższych obrotach. Wygrali dwa pierwsze sety, zwłaszcza w pierwszym prezentując kapitalną siatkówkę. Rozbili rywali, a przecież po drugiej stronie byli m.in. mistrzowie i wicemistrzowie olimpijscy.

To nie był przypadek

Jastrzębianie z kłopotów wyszli jednak obronną ręką. Z trudem, ale jednak zdołali złamać opór częstochowian. – Nie chciałbym nazywać tego tarapatami czy kłopotami. Po prostu przeciwnicy dobrze grali w siatkówkę. Norwid to zespół, któremu – szczegó-

nie w pierwszej rundzie, gdy się go oglądało przed telewizorem – chciało się kibicować, bo miał w sobie mnóstwo pozytywnej energii. I to właśnie częstochowianie pokazali przeciwko nam. To nie był przypadek, że wygrali dwa pierwsze sety. To była zasługa ich świetnej gry – chwalił graczy z Częstochowy Jakub Popiwczak w rozmowie z klubowymi mediami. – Ale dobrze, że już w pierwszej rundzie trafiliśmy na taki opór. W takich meczach drużyna się hartuje i kształtuje jej charakter – dodał.

Libero mistrzów Polski przyznał przy okazji, że on i jego koledzy w mecz nie weszli w pełni skoncentrowani. – Musieliśmy zrozumieć, że jeśli chcemy wygrać, to nie zrobimy tego na stojąco, że nikt nic nam nie da za darmo, że nie wystarczy półśrodkami, lecz musimy wrzucić najwyższy bieg. Na szczęście nam się to udało i dlatego jestem dumny, że wygraliśmy – podkreślił.

Jastrzębianie po raz siódmy z rzędu zagrają w półfinale mistrzostw Polski. Nie on jest jednak ich celem. – Nie będę ukrywał, że jako

podwójni z rzędu mistrzowie Polski nie myślimy o półfinale, lecz o tym, aby dotrzeć do tego najważniejszego grania, czyli o złoto. To jest nasz cel – zapewnił Popiwczak.

Czekają na rywala

Mistrzowie Polski na półfinałowego przeciwnika muszą poczekać do niedzieli. W rywalizacji ZAKSY Kędzierzyn-Koźle z Bogdanką LUK Lublin po dwóch meczach jest remis. I co ciekawe, własny parkiet nie jest w niej atutem. Kędzierzanie przed własną publicznością musieli sobie jednak radzić bez przywódcy Bartosza Kurka. Na ostatnim treningu przed spotkaniem poczuł ból w plecach i jego występ był wykluczony. Na razie nie wiadomo jak długo będzie pauzował. Zastępujący go Mateusz Rećko też nie był w pełni sił, bo ledwie trzy dni wcześniej zmagął się z wirusem i 39-stopniową gorączką.

Choć zawodnicy zarzekali się, że absencja lidera nie miała wpływu na ich grę, parkiet pokazał co innego. Grali bez wiary i ikry, przegrywając wysoko 0:3. (mic)

Być albo nie być katowiczczan

Już tylko jedno zwycięstwo dzieli tyszan od szóstego tytułu mistrzów Polski!

TAURON HOKEJ LIGA

Umiejętności są podobne, potencjał również, więc w piątym meczu finału mistrzostw kraju zadecydują charaktery zawodników - tak twierdzą obiektywni obserwatorzy. W zdecydowanie lepszej sytuacji są hokeiści GKS-u Tychy, którzy prowadzą w serii 3-1. Dla GKS-u Katowice ten mecz jest z cyklu „być albo nie być” - przegrywasz i po końcowej syrenie odbierasz srebrny medal, nie do końca satysfakcjonujący. Świętuje rywal...

Mrozą się... krążki!

Szampany już się mrozą? - pytam nieco prowokacyjnie drugiego trenera GKS-u Tychy, Adama Bagińskiego.

- Nie ma powodów, by się schładzały, bo z tego co wiem tylko krążki są mrożone - uśmiecha się 5-krotny mistrz Polski z Tychami. - Wiemy, jaka jest sytuacja, mamy ważny mecz i, mam nadzieję, publiczność poniesie nas do zwycięstwa. Na tę chwilę pracowaliśmy od początku sezonu i wszyscy doskonale sobie zdają sprawę, jaką rangę ma ta potyczka. Oczekujemy ciekawego widowiska, bo to dla wszystkich zgromadzonych w hali ma być święto hokeja. Tu już nie ma mowy o jakichś korektach czy zmianach, bo jesteśmy na finiszu. Ten mecz ma być ukoronowaniem sezonu i niech już tak zostanie.

W każdej rywalizacji playoffowej bardzo ważny jest pierwszy krok, pierwsze zwycięstwo, które jeszcze bardziej wzmacnia drużynę. By jednak sięgnąć po złoto, trzeba również zrobić ten ostatni krok, najważniejszy. Tyscy hoke-



Kacper Maciąś (z lewej) oraz Rasums Heljanko stoczą dzisiaj kolejne potyczki - kto wyjdzie z nich zwycięsko?

ści mają wielką szansę, by już sięgnąć po szóste złoto w historii.

Pomocne ściany

Czwarte spotkanie w „Satelicie” miało niecodzienny przebieg, zaś ostatnia tercja będzie długo wspominana przez miejscowych hokeistów i kibiców.

- Nie zawsze jest się lepszym w meczu, ale sztuka jest wygrać - przekonuje szef tyskiej sekcji hokejowej, Jarosław Rzeszutko. - A tak właśnie było w poniedziałek w Katowicach. Chłopaki na lodzie ofiarnie pomagali Tomkowi Fučíkowi w bramce, ale i on wielce pomógł drużynie. Wcale nie ukrywam, że mieliśmy sporo szczęścia, ale i fartowi trzeba pomóc. Otrzymaliśmy sporą porcję materiału do analizy i był już szczegó-

łowo omawiany. Generalnie w meczach w „Satelicie” zaprezentowaliśmy się lepiej niż w półfinale w Jastrzębiu. U siebie w tym play offie gramy jeszcze lepiej i jestem przekonany, że ten atut wykorzystamy. Nasza drużyna od początku się cementowała i teraz wygląda bardzo dobrze od strony mentalnej. Na papierze jesteśmy lepsi, ale to jeszcze trzeba przełożyć na taflę. Jestem mocno przekonany, że zasłużyliśmy na ten ostatni krok i że właśnie tego dokonamy!

W składzie zapewne nie będzie żadnych zmian, bo wszystkie formacje odpowiednio funkcjonują.

Bez wyboru

Hokeiści GieKSy podczas wczorajszego treningu ze sporą energią przykładali się do strzałów na bramkę

Johna Murraya i Michała Kielera. Zdają sobie sprawę, że brak skuteczności zadecydował o ostatniej porażce.

- To będzie mecz charakterów i co do tego nie mam żadnych wątpliwości - mocno podkreśla trener z Katowic, Jacek Płachta. - Determinacja i chęć zwycięstwa za wszelką cenę mają doprowadzić nas do wygranej. Nie mamy żadnego marginesu błędu, ale wierzę w tych chłopaków. W krótkiej przerwie między meczami leczylismy mikrourazy, trochę chcieliśmy się zregenerować oraz analizowaliśmy to, co było dotychczas. Brak zdecydowania w ułamku sekundy, złe wystrzelenie krążka, zwleknięcie z podaniem - to zaledwie kilka elementów, które zadecydowały o naszym ostatnim niepo-

wodzeniu. Znamy wartość rywala i wiemy jakie ma atuty, więc trzeba zrobić wszystko, by je zneutralizować. Chcemy wygrać, wrócić do naszej hali i tylko o tym myślimy.

Napięcie nerwowe towarzyszy wszystkim zainteresowanym. - Chciałbym, by krążek został już rzucony i rozpoczęła się gra - powiedział na pożegnanie trener Płachta. I to doskonale ilustruje jakie uczucia nim targają, a przecież w tym zawodzie nie jest nowicjuszem.

Pomóc szczęściu

- Sporo mówi się w ostatnim czasie o szczęściu, ale jemu trzeba pomóc - uważa Igor Smal, trapiiony w tym sezonie kontuzjami i w finałach też gra z urazem. - Jeżeli będziemy solidnie pracować na lodzie, wówczas szczęście będzie przy nas. Przegrywamy 1-3, ale gra się do czterech wygranych i tego się trzymajmy. Wyrzuciłem z pamięci to wszystko, co było do tej pory i skupiam się na najbliższym spotkaniu. Może na analizę tego, co się wydarzyło w tym sezonie, przyjdzie czas w maju.

- Nie ma co się czarować, bo nam do tej pory brakowało skuteczności - dodaje doświadczony Mateusz Bepierszcz. - Mamy nóż na gardle, potrzebujemy w kluczowych momentach chłodnej głowy, a jej nie mamy. Zagrywamy krążek za szybko albo za późno i potem rozpamiętujemy tę akcję. Nie zwieszamy głów i wcale nie zamierzamy kończyć sezonu.

Jedno jest pewne - przed piątym meczem w obu ekipach jest ogromne napięcie i kto je lepiej zniesie, ten zwycięży w tej potyczce.

Włodzimierz Sowiński

TAURON HOKEJ LIGA

Finał

Czwartek, 3 kwietnia
TYCHY, 18.00: GKS - GKS Katowice 2:1, 5:1, 0:2, 3:1*
*dotychczasowe mecze
Transmisja TVP Sport

REPREZENTACJA POLSKI

KAPITAN Z OPÓŹNIENIEM

■ Hokejowa kadra, bez finalistów play offu, zebrała się w Jastrzębiu-Zdroju, by rozpocząć przygotowania do mistrzostw świata Dywizji 1A w rumuńskim Sfantu Gheorghe. Sztab szkoleniowy wzorem lat poprzednich ustalił, że reprezentacja przejdzie przez trzy etapy szkolenia. Pierwszy właśnie rozpoczął się treningami na „Jastorze”, a zakończony zostanie dwumeczem z Litwą na „Jantorze” w Katowicach-Janowie (7-8.04.). Dla części młodych zawodników to będzie pożyteczny sprawdzian i kolejne okazja do zdobycia niezbędnego doświadczenia.

Kadrowicze niemal w komplecie pojawili się na zbiórce w Jastrzębiu-Zdroju - zabrakło jedynie kapitana reprezentacji Krystiana Dziubińskiego. Poprosił o dodatkowy dzień wolny, bo zatrzymały go sprawy osobiste. Niemniej dzisiaj miał już uczestniczyć w zajęciach. Przyjechali, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, Krzysztof Maciąś, który - jak już informowaliśmy - zakończył już w sezon w juniorskiej kanadyjskiej WHL, oraz Paweł Zygmunt, występujący od lat w Litwinowie.

Po spotkaniach z Litwinami kadra przeniesie się do Kryniczy-Zdroju i będzie kontynuowała treningi, ale już z hokeistami z Tychów oraz Katowic. Ten okres zostanie zakończony dwoma potyczkami z Ukraincami (13-14.04.), a po nich ekipa uda się do Sosnowca, by przystąpić do kolejnego etapu przygotowań, zakończonego meczami z Włochami, naszymi rywalami w MŚ. Cykl spotkań kontrolnych zostanie zamknięty w Mariborze, gdzie Biało-czerwoni sprawdzą formę ze Słowenią (24.04.), która będzie się sposobila do występu w mistrzostwach świata elity. Z Mariboru reprezentacja pojedzie już do Sfantu Gheorghe, gdzie rozegrane zostaną nasze MŚ.

Kadra na Litwę. Bramkarze: Maciej Miarka (JKH GKS Jastrzębie), Filip Swiderski (Texom STS Sanok) i Igor Tyczyński (Naprzód Janów Katowice)/SMS PZHL; obrońcy: Karol Biłas i Bartosz Florczak (obaj STS), Kamil Górny (JKH), Marcin Horzelski (Podhale Nowy Targ), Oskar Jaśkiewicz i Jakub Wanacki (obaj Cracovia), Michał Naróg (EC Zagłębie Sosnowiec), Mateusz Zieliński (Energia Toruń); napastnicy: Sebastian Brynkus i Damian Kapica (obaj Cracovia), Krystian Dziubiński, Kamila Sadłocha i Łukasz Krzemień (wszyscy Re-Plast Unia Oświęcim), Łukasz Kamiński i Szymon Kietbicki (obaj JKH), Patryk Kręzotek (EC Zagłębie), Krzysztof Maciąś (Moose Jaw Warriors - WHL, Kanada), Damian Tyczyński (bez klubu), Mikołaj Syty (Energia), Paweł Zygmunt (HC Verva Litwinów).

[sow]

ZDANIEM EKSPERTA

Tyszanie blisko

ROMAN STEBLECKI

olimpijczyk z Albertville '92, ekspert TVP Sport



Hokeiści GKS-u Tychy jeszcze przed sezonem byli postrzegani jak główny faworyt do złotego medalu i po to trofeum zmierzają. Wszystko toczy się wedle takiego

scenariusza, ale sport jest nieprzewidywalny i często płata psikusy. Zespół z Katowic nie wykorzystał szansy na własnej taflę, ale sam sobie jest winien, bo przecież wszystko miał

podane na tacy. Mnóstwo sytuacji, dwa niewykorzystane karne i zmarnowane przewagi - to wszystko złożyło się na porażkę. Oba zespoły w przewagach prezentują się poniżej swoich

możliwości. Tyska drużyna jest bardziej stabilna i przewidywalna, więc rywalem będzie trudno odwrócić losy tej rywalizacji. Tychy zmierzają po mistrzowską koronę i ją zdobędą!

Wczuwa się w rolę kapitana

Kacper Woryna wierzy, że razem z dobrą atmosferą w górę pójda wyniki Włókniarza Częstochowa.

Wychowane rybnickiego ROW-u wraz z całą kadrą Włókniarza przygotowuje się do sezonu, biorąc udział w sparingach i turniejach indywidualnych. Jednym ze sprawdzianów formy był 51. Memoriał im. Bronisława Idzikowskiego i Marka Czernego w Częstochowie. Znany ze swojej ambicji i determinacji Woryna już wtedy chciał pokazać się z jak najlepszej strony. Stanął nawet przed szansą zajęcia miejsca na podium. Po zasadniczej części zawodów w dodatkowym biegu o trzecią pozycję rywalizował z kolegą z drużyny, Jasonem Doylem. W tym starciu lepszy był Australijczyk, a rybnickaninowi pozostało się cieszyć jedynie z czwartej lokaty.

– Poniekąd odczuwam niedosyt. Na pewno szkoda, że nie udało się zdobyć pucharu. Jednakże pamiętajmy, że to dopiero początek sezonu. W tym czasie odbywamy pierwsze jazdy testowe, szukamy odpowiednich ustawień w sprzęcie. Ogólnie z występu byłem zadowolony. Tym bardziej, że przed zawodami nawet nie celowałem

w żadne konkretne miejsce – powiedział Kacper Woryna.

Gotowy do ligi

Rozgrywki ekstraklasy rozpoczną się 11 kwietnia. Wtedy Włókniarz podejmie GKM Grudziądz. Trochę czasu do przygotowań przed inauguracyjnym starciem jeszcze pozostało. Pod Jasną Górą czynią, co w ich mocy, by jak najkorzystniej wejść w tegoroczne zmagania w najwyższej klasie rozgrywkowej. Woryna przyznaje, że byłby gotów do jazdy w lidze już nawet dzień po ostatniej imprezie w Częstochowie.

– Jeżeli trzeba byłoby wystartować w lidze już pod koniec marca, to oczywiście byłbym gotowy. Natomiast mecze towarzyskie czy różnego rodzaju turnieje, memoriały, to jest czas stanowiący dla nas swobodną przestrzeń, aby poszukać czegoś ekstra w sprzęcie. Osobiście sam lubię testować, a od tego właśnie jest początek żużlowego sezonu. Bazę sprzętu swoją już mamy, lecz dalej szukamy czegoś, czego nie znalazłby ktoś inny. Na tym polega testowanie – wytłumaczył kapitan Włókniarza.



Czy Kacper Woryna poprowadzi częstochowian do sukcesów?

Coraz lepiej

Zdobyte punkty rybnickanina w obu sparingach biało-zielonych z Betard Spartą Wrocław (26-27 marca) oraz wynik w memoriale mogą zapowiadać, że pójdzie za ciosem w następnych imprezach. W żadnym razie niespełna 29-latek nie zamierza popadać w przedwczesny hurra- optymizm. – Przede mną jeszcze kolejne sparingi. Tak więc będziemy jeszcze próbować różnych rozwiązań – oznajmił po pierwszych startach.

Wygląda jednak na to, że każde kolejne testy przynoszą korzystne wyniki. Rajder Włókniarza pokazał to w środowej kontrolnej potyczce w Bydgoszczy przeciwko Abramczykowi Polonii.

Goście co prawda ulegli 35:55, lecz z pewnością nikt nie mógł mieć pretensji do jazdy Woryny. Zapisał na swoim koncie 9 punktów w czterech biegach. Trzykrotnie przyjeżdżał do mety na czele stawki. Jego plecy oglądali triumfatorzy niedawnego Kryterium Asów, Aleksandr Łoktaw i Krzysztof Buczkowski. Również inny przedstawiciel gospodarzy, Szymon Woźniak, nie mógł równać się z ubiegłorocznym krajowym liderem częstochowskiej ekipy w jednej z gonitw.

Oczekiwana atmosfera

Ważną cechą drużyny powinien być „team spirit”. Kacper Woryna w styczniu – zanim oficjalnie został wybrany

na kapitana Włókniarza – otwarcie stwierdzał, że liczy na dobrą atmosferę. Tej bowiem w ostatnich latach w Częstochowie brakowało. Teraz pochodzący z Rybnika jeździec osobiście stara się dopilnować, aby w teamie spod znaku lwa współpraca między żużlowcami była owocna. Potwierdza, że nastroje w drużynie są mocno pozytywne. – Wszystko jest w porządku. Każdy z nas podchodzi profesjonalnie do tematu. Najważniejsze jest to, że wszyscy ze sobą współpracujemy. O wynikach na razie nie możemy powiedzieć za dużo, ale mam nadzieję, że te też przyjdą wraz ze startem ligi – zakończył Woryna.

Norbert Giżyński

Szczypta optymizmu

We wtorek miał odbyć się pierwszy przedsezonowy sparing żużlowy na torze w Rybniku. Rywalem ROW-u miała być Unia Leszno. Spotkanie jednak nie doszło do skutku, bo przyjezdni nie wyrazili zgody na wyjazd na tor. Ich wątpliwość wzbudził montaż dmuchanej bandy. Rybnicki klub za pośrednictwem Facebooka przekazał, że w miniony piątek tor pozytywnie przeszedł oficjalną weryfikację. Mimo wszystko lesznianie nie ruszyli się z parku maszyn, dlatego zamiast meczu sparingowego kibice mogli zobaczyć trening zespołu z Rybnika.

Niedogodności zostały im wynagrodzone w śro-

dę, gdy na Górny Śląsk zawitała drużyna z Zielonej Góry. Falubaz problemów z mocowaniem dmuchanej bandy nie zauważył i zgodnie z planem wyjechał na tor, chcąc sprawdzić swoją siłę przed zbliżającym się sezonem – pierwsza kolejka ekstraklasy rozpocznie się w piątek 11 kwietnia. Rybnickie w poprzednich dwóch sparingach na wyjeździe przegrali – ze Spartą Wrocław 37:53 i Unią Leszno 43:47 – więc ich kibice nie byli pewni wyniku. Ponadto żyją w niepewności, czy zespół będzie w stanie pozostać w ekstraklasie, bo takie są przecie ich marzenia. W 2019 roku ROW wywalczył awans do elity, ale rywalizował w niej tyl-

ko przez jeden sezon. Fani z Górnego Śląska woleliby, żeby ten scenariusz się nie powtórzył.

Spotkanie z Falubazem może jednak wnieść nieco optymizmu w rybnickie środowisko żużlowe. ROW wygrał 54:36, nie pozo-

W pierwszym sparingu w roli gospodarza ROW Rybnik nie dał szans Falubazowi.

stawiając złudzeń przyjezdnym z Zielonej Góry. Świetnie spisywali się niemal wszyscy zawodnicy z Rybnika. Bardzo szybko byli Nicki Pedersen oraz Gleb Czugunow. Sporo punktów uzbierali także Chris Holder oraz Maksym

Borowiak. Falubazowi nie pomogła nawet całkiem niezła dyspozycja Przemysława Pawlickiego, który zdobył 10 punktów.

(KJ)

Innpro ROW Rybnik – Stelmet Falubaz Zielona Góra 54:36

ROW: Drabik 5 (2,3,-,-), C. Holder 6+2 (2*,2*,2,-), Pludra 5+2 (-,1*,1*,3,0), Czugunow 9+1 (1*,2,-,3,3), Pedersen 8 (2,3,3,-), Borowiak 7+1 (3,-,0,2,2*), Trześniewski 2 (1,-,1,0), Tungate 5+1 (3,1,1*), Je. Knudsen 7+2 (1*,2,2*,2).

FALUBAZ: Hampel 6 (3,0,3,d), McDiarmid 7 (0,2,0,2,3), Curzytek 7 (0,3,2,1,1), Jo. Knudsen 2+1 (0,0,1*,1), Pr. Pawlicki, 10 (3,1,3,3), Hurysz 1 (0,1,0,0), Rajczak 3 (2,0,0,1).

BLISKO PIĘDZIESIĄTKI

■ W dniu sparingu z Falubazem Zielona Góra 48. urodziny obchodził Nicki Pedersen. Duńczyk dołączył do ROW-u Rybnik po jednym sezonie spędzonym na zapleczu ekstraklasy, gdzie reprezentował Stal Rzeszów. Po 12 miesiącach przerwy

wraca na najwyższy szczebel rozgrywkowy i ma pomóc „Rekinom” w utrzymaniu w elicie. W przeszłości Pedersen trzykrotnie sięgał po indywidualne mistrzostwo świata (2003, 2007, 2008). Od 2023 roku jest selekcjonerem reprezentacji Danii.

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

CZWARTEK, 3 KWIEŚNIA

TVP 1

20.10 Przegląd wydarzeń

TVP 3

19.00, 21.40 Przegląd wydarzeń regionalnych

TVP SPORT

17.30 Tauron Hokej Liga: studio i 5. mecz finałowy GKS Tychy - GKS Katowice (na żywo), 22.00 Sportowy wieczór

POLSAT SPORT 1

17.20 Koszykówka: Orlen Basket Liga, AMW Arka Gdynia - PGE Spółnia Stargard, 20.30 Siatkówka: PLS 1. liga, ChKS Chełm - MCKIS Jaworzno (na żywo)

POLSAT SPORT 2

17.20 Siatkówka mężczyzn: finał Pucharu CEV, Asseco Resovia - Ziraat Bank Ankara, 20.20 Piłka ręczna: Orlen Superliga Kobiet, Zagłębie Lubin - KPR Gminy Kobierzyce (na żywo)

POLSAT SPORT 3

18.55 Koszykówka: Turkish Airlines Euroliga, AS Monaco - Panathinaikos Akrotiri, 20.55 Real Madryt - Paris Basketball (na żywo)

SPORTKLUB

19.00 Jeździectwo: PŚ w Bazyli, skoki przez przeszkody (na żywo)

EUROSPORT 1

14.00, 20.00 Snooker: ćwierćfinał Tour Championship (na żywo)

EUROSPORT 2

17.00 Curling: MŚ w Moose Jaw, Szwecja - Szkocja, 22.00 Golf: 1. runda Valero Texas Open (na żywo)

CANAL+ SPORT

20.55 Pn: liga angielska, Chelsea - Tottenham, 4.00 Koszykówka: NBA, Los Angeles Lakers - Golden State Warriors (na żywo)

CANAL+ SPORT 2

17.00 Tenis: 3. runda WTA w Charlestonie (na żywo)

ELEVEN SPORTS 1

4.10 Formuła 1: GP Japonii, studio i trening (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport

Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny
Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania Tomasz MUCHA
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba

Iga rezygnuje z kadry

Bez Igi Świątek i Magdaleny Fręch musi sobie radzić reprezentacja Polski w turnieju kwalifikacyjnym Billie Jean King Cup za tydzień w Radomiu.

To wielki cios dla Biało-czerwonych, półfinalistek ostatniej edycji żeńskiego odpowiednika rozgrywek o Puchar Davisa. W listopadzie w finałowym turnieju Billie Jean King Cup w Maladze grało aż 12 zespołów, w tym roku w chińskim Shenzen wystąpi tylko 8 drużyn - broniące trofeum Włoszki, gospodarze - Chinki oraz 6 zwycięskich ekip z turniejów kwalifikacyjnych. Jeden z nich odbędzie się w dniach 10-12 kwietnia w Radomiu, a rywalkami Polek będą Ukrainki i Szwajcarki w najsilniejszych zestawieniach, z Eliną Switoliną (18. WTA) i Martą Kostjuk (24.) oraz z Belindą Bencic (41.) i Viktoriją Golubic (95.).

Nie chcieli tego kibice

Igi Świątek nie było w składzie reprezentacji powołanej przez kapitana Dawida Celta i ogłoszonym przez Międzynarodową Federację Tenisową (ITF) w połowie marca. Teraz wideliderka światowego rankingu tenisistek o rezygnacji z występu w Radomiu poinformowała w środowe po-



Sorry kapitanie, tym razem nie pomogę... Iga Świątek i Dawid Celt trzy lata temu podczas meczu z Rumunią w Radomiu.

dnie w specjalnym oświadczeniu w mediach społecznościowych.

„Podjęłam trudną decyzję. Wiem, że nie jest to informacja, której chcieli kibice, szczególnie polscy, niemniej to decyzja słuszną dla mnie na ten moment. Zawsze z dumą reprezentuję Polskę. W zeszłym roku zagrałam dla kraju wszystko, co było do zagrania. Jestem niezwykle dumna z historycznych sukcesów - półfinału BJKC

oraz finału UC (United Cup - przyp. red.). Teraz przyszedł czas na więcej balansu, skupienie się na sobie i swoich treningach. Trzymam kciuki za dziewczyny i za cały zespół” - przekazała Świątek.

23-letnia rasyznianka po raz pierwszy od pięciu lat w pierwszych trzech miesiącach roku nie wygrała żadnego turnieju, na tytuł czeka od czerwca ub. roku, a jej strata do prowadzącej na liście WTA Białorusinki

Aryny Sabalenki wzrosła do 3071 punktów.

Nadgarstek Fręch

To nie koniec złych wiadomości, bo z awizowanego składu Biało-czerwonych ubył także Magdalena Fręch, 30. tenisistka na świecie, która początku sezonu także nie może zaliczyć do udanych (bilans meczów 3-9). Zawodniczka Górnik Bytom w tym tygodniu miała wystąpić w turnieju WTA 500 w Charleston, ale wyco-

fała się już po rozlosowaniu drabinki z powodu kontuzji nadgarstka. Uraz ma jej również uniemożliwić występ w Radomiu. W składzie polskiej drużyny zastąpi ją Martyna Kubka (373. WTA).

We wtorek na stronie polskiej będzie spoczywał na 31. na świecie Magdzie Linette, która ostatnio w Miami osiągnęła ćwierćfinał turnieju WTA 1000, a także na Mai Chwalińskiej (121.) i Katarzynie Kawie (223.).

Już tydzień temu mówiłem w Radomiu, że uszanujemy każdą decyzję Igi i tego się trzymam, choć oczywiście po cichu liczyłem, że będzie inna. W tej sytuacji nasze szanse na zwycięstwo w turnieju oczywiście spadły, ale tanio skóry na pewno nie sprzedamy. Magda Linette jest w dobrej formie, Maja Chwalińska pnie się najwyżej w rankingu i jest blisko Top 100. Walczyć trzeba i kibicować naszym dziewczynom również - skomentował dla „Sportu” prezes Polskiego Związku Tenisowego Dariusz Łukaszewski.

Tomasz Mucha

Majchrzak w ćwierćfinale!

Turniej ATP 250 w Marrakeszu może stać się dla Kamila Majchrzaka trampoliną do powrotu do Top 100 na świecie. W środę 29-letni Polak awansował do ćwierćfinału imprezy w Maroku, pokonując notowanego na 98. miejscu w rankingu Holendra Jespera de Jonga 7:6 (7-3), 6:1. „Szumi” zanotował świetny powrót w pierwszym secie od stanu 2:5 i doprowadził do tie-breaka, którego już pewnie rozstrzygnął na swoją korzyść. W drugiej partii

dominacja piotrkowianina nie podlegała już dyskusji; jedynego gema stracił przy stanie 3:0, a mecz zakończył drugą piłką meczową po niespełna 1,5 godzinie gry.

To już czwarta wygrana Polaka w Grand Prix Hassana II, w którym przebił się przez dwustopniowe kwalifikacje, a potem już w turnieju głównym odprawił rozstawionego z „szóstką” Hiszpana Jaume Munara (55. ATP). I jak dotąd nie stracił jeszcze seta!

Majchrzak po raz piąty w karierze osiągnął przynajmniej ćwierćfinał turnieju rangi ATP - wcześniej w 2021 roku w Sofii, rok później w indyjskim Pune, w Genewie i ponownie w stolicy Bułgarii. W Pune doszedł do półfinału. W Marrakeszu rywalem 29-letniego Polaka w walce o półfinał będzie w piątek rozstawiony z „trójką” Alexandre Muller. O rok młodszy Francuz (41. ATP) w 1. rundzie miał wolny los, a w 1/8 finału pokonał w trzech setach Boliwijczyka Hugo Delliena (102.) 6:7 (5-7), 6:1, 6:4.

Notowany na 122. miejscu w rankingu ATP Majchrzak zbliża się do powrotu do Top 100 - wiosną 2022 roku był już 75., ale pół roku później został zawieszony za stwierdzenie w jego organizmie niedozwolonego środka. W procesie odwoławczym udowodnił, że zażył go nieświadomie w skażonej odżywie, ale pauzował przez 13 miesięcy i na początku 2024 roku odbudowywał swój ranking od zera. Teraz może myśleć nawet o zatapaniu się do wielkoszlemowego French Open (od 26 maja) bez kwalifikacji.

z turniejową „jedyneką” Czeszką Marie Bouzkovou (51. WTA). Ten wynik zapewni Polce awans do Top 200 i znacząco przybliży ją do udziału w eliminacjach French Open. Niestety, gorzką pigułkę w challengerze WTA 125 w Antali musi przełknąć Maja Chwalińska. Tenisistka z Dąbrowy Górniczej (121. WTA) w 1. rundzie z Chinką Wushuang Zheng (278.) miała meczbola przy stanie 5:3 w drugim secie, ale ostatecznie przegrała 6:4, 6:7 (3-7), 2:6.

KAWA JEST SŁODKA!

■ Sukces Katarzyny Kawy w Bogocie. 32-letnia kryniczanka, dopiero 226. na świecie, awansowała do ćwierćfinału turnieju WTA 250. Po przejściu eliminacji Polka wygrała w stolicy Kolumbii dwa mecze w głównym turnieju; wczoraj w 1/8 finału po heroicznym boju trwającym niemal 3 godziny, i obronieniu piłki meczowej w drugim secie, wyeliminowała Brazylijkę Laure Pigossi (180. WTA) 1:6, 7:6 (7-5), 6:3. O półfinał Kawa zmierzy się

NIEWIADOMA 13. W BELGIJSKIM KLASYKU

KOLARSTWO

■ Katarzyna Niewiadoma (Canyon-SRAM) zajęła 13. miejsce w klasyku Dwars Door Vlaanderen. Wygrała po samotnej ucieczce Włoszka Elisa Longo Borghini (UAE Team ADQ), odnosząc 50. zwycięstwo w zawodowej karierze. Na mecie w Waregem Longo Borghini wyprzedziła o 29 sek. rozciągniętą grupę pościgową, na której czelę przyjechały dwie mistrzyni świata - aktualna, Belgij-

ka Lotte Kopecky (SD Worx), oraz najlepsza w 2021 roku Włoszka Elisa Balsamo (Lidl-Trek).

Wcześniej w wyścigu mężczyzn zwyciężył Neilson Powless (EF Education-EasyPost). 28-letni Amerykanin wyprzedził na finiszu trzech towarzyszy ucieczki, wszystkich z Visma-Lease a Bike. Drugie miejsce zajął Belg Wout van Aert, trzeci był jego rodak Tiesj Benoot, a czwarty - ubiegłoroczny zwycięzca Amerykanin Matteo Jorgenson.

„OWI” NA OSTATNIEJ PROSTEJ

NHL

■ Każdy mecz Washington Capitals na finiszu sezonu zasadniczego łączy się z Aleksandrem Owieczkinem, który ma szansę poprawienia rekordu strzeleckiego wszech czasów Wayne’a Gretzky’ego. Mało kto jednak zwrócił uwagę, że „Stoleczni” przegrali trzy mecze z rzędu i wygranie tej części rozgrywek im się oddaliło. Zła passa została przerwana

w wygranym wyjazdowym meczu z Boston Bruins 4:3 (2:0, 0:2, 2:1), zaś kapitan zaliczył 891. gola i do poprawienia rekordu brakuje mu czterech trafień.

Boston - Washington 3:4, Los Angeles - Winnipeg 4:1, Montreal - Florida 3:2, St. Louis - Detroit 2:1 i Anaheim - San Jose 4:3 wszystkie trzy po dogrywkach, **Vegas - Edmonton 2:3, Ottawa - Buffalo 2:5, Columbus - Nashville 8:4, NY Islanders - Tampa Bay 1:4, Utah - Calgary 3:1.** (ws)

Polska - Reszta Świata 6:1

BOKS

Wszyscy polscy pięściarze występujący w ćwierćfinałach Pucharu Świata w brazylijskim Foz do Iguacu: Wiktoria Rogalińska (54 kg), Julia Szeremeta (57 kg), Paweł Brach (60 kg), Aneta Rygielska (60 kg), Jakub Słomiński (50 kg) i Jakub Straszewski (85 kg) wygrali swoje walki i pewni są już miejsc na podium.

We wtorek w pierwszej sesji walk Rogalińska wygrała jednogłośnie na punkty z Kazażką Anitą Adiszewą 5:0 (29:28, 30:26, 29:28, 30:25, 30:27). Pięciokrotna mistrzyni Polski, zawodniczka Skorpionu Szczecin, była zdecydowanie lepsza, co znalazło wyraz w wysokiej punktacji u trzech sędziów. Jakim cudem dwóch dało ostatnią rundę jej rywalce, która była liczona w drugim starciu, wiedzą tylko oni sami. Bardziej wyrównany był pojedynek Bracha, ale i on jednogłośnie pokonał Amerykankę Ramona Ordoneza 5:0 (30:27, 29:28, 29:28, 29:28, 30:27). W sesji wieczornej Rygielska wygrała z Brazylijką Rebecą Santos 4:1 (29:28, 29:28, 29:28, 29:28, 27:30), Słomiński wygrał z Gujańczykiem Hanslem Lopezem Sanchezem 5:0 (30:27, 30:27, 29:28, 29:28, 29:28), a Straszewski (85 kg) - z Argentyńczykiem Victorem Nahuelem Roldanem 4:1 (29:28, 29:28, 29:28, 29:28, 28:29).

W środowej sesji walk pierwszy oficjalny występ od igrzysk w Paryżu miała Julia Szeremeta. Srebrna medalistka olimpijska w pojedynku z Amerykanką Alyssą Mendozą, która też boksowała w Paryżu, pokazała dobrą dyspozycję. W pierwszej rundzie Polka wygrała u trzech sędziów, dwóch dało wygraną jej rywalce. W kolejnych starciach zawodniczka PACO Lublin walczyła coraz swobodniej i uzyskała wyraźną przewagę. Tym razem sędziowie nie mieli już wątpliwości i dwie rundy były już dla Szeremety. Ostateczna punktacja 5:0 (29:28, 29:28, 30:27, 30:27, 30:27).

Jak dotychczas Biało-czerwoni wygrali w Foz do Iguacu sześć z siedmiu stoczonych walk. Przegrał tylko Damian Durkacz (70 kg) z Uzbekiem Ikboljonem Choldarowem.

(a)

Mimi w szampańskim nastroju

Angielka Mimi Rhodes ma tylko 23 lata, zwyciężyła w swoim dopiero czwartym występie na Ladies European Tour i jest na dobrej drodze by zostać debiutantką roku.

Euphemie "Mimi" Rhodes, mimo że urodzona w angielskim Bath, tak naprawdę wychowała się w Hiszpanii, w Sotogrande. Kiedy była ośmioletką, miłość do golfa zaszczerpiła u wnuczki jej babcia, legitymująca się jednocyfrowym handicapem.

Pasja w genach

Mimi była bardzo zdeterminowana i ciężko pracowała, aby być coraz lepszą zawodniczką. Zajęła drugie miejsce w Trophée Cécile de Rothschild – Międzynarodowych Amatorskich Mistrzostwach Francji Kobiet w 2018 roku, a to z kolei rok później pomogło w dostaniu się do drużyny Junior Solheim Cup. W kolejnym roku nagrodzona została pełnym stypendium w najlepszej kobiecej pierwszoligowej drużynie golfowej NCAA – Wake Forest University, w Karolinie Północnej. Spędziła tam cztery lata, pomagając swojej ekipie w sięgnięciu po mistrzostwo NCAA Division I w 2023 roku, gdzie indywidualnie zajęła dziesiąte miejsce, a na ostatnim roku studiów uhonorowano ją prestiżowym tytułem NCAA All-American.

W rodzinie nie tylko ona jest piekielnie zdolna. W golfa gra również, młodszą o dwa lata, siostra Patience, reprezentantka Arizona State University, z którą w ubiegłym roku zdobyła brąz na Mistrzostwach Europy Kobiet w Madrycie i sięgnęła po Curtis Cup, na jednym z najpiękniejszych pól golfowych świata, legendarnym Old Course w Sunningdale, w Anglii.



Mimi Rhodes dopiero się rozpędza.

skim hrabstwie Surrey. Drużyna Wielkiej Brytanii i Irlandii pokonała wtedy w zaciętym meczu Amerykanki 10.5-9.5.

Siostry

Siostry grały tam ze zmiennym szczęściem. Najpierw boleśnie przegrały swój wspólny mecz parami, później, rozdzielone, również przegrały oba swoje mecze, dopiero w sobotę w parze ze Szkotką Hannah Darling Mimi wreszcie zdobyła punkt na rodzinne konto. Cierpliwa Patience zaatakowała w niedzielę, gromiąc Zoe Campos 6&5, a Mimi zremisowała z Melanie Green.

Zaraz po Pucharze Curtisa starsza z sióstr zdecydowa-

ła o przejściu na zawodowstwo, dołączając do przedsiwionki Ladies European Tour - LET Access Series. Na pierwszą wygraną nie czekała długo, triumfując we wrześniu w szwajcarskim Lavaux Ladies Open, po dogrywce ze swoją rodaczką Billie-Jo Smith. Stało się to jej przepustką do turnieju Aramco Team Series 2024 – Rijad. Wykorzystała szansę najlepiej jak tylko można i wygrała trofeum drużynowe, razem z koleżankami - Chiara Tamburlini i Anne-Charlotte Morą. Nawet nie myśląc o zwalnianiu tempa, śpiewając przeszła Q-School LET, zajmując tam dziewiętnastą pozycję. Teraz jest już triumfatorką w najlepszej europejskiej golfowej lidze kobiet.

Rekord pola

W niezwykle napiętej atmosferze ostatniego dnia Ford Women's NSW Open Angielka, startująca dopiero po raz czwarty jako pełnoprawna członkini LET, wykazała się dojrzałością zdecydowanie wykraczającą poza jej lata. Zaliczyła „nudne” 14 parów z rzędu po dwóch birdie na dwójce i czwórce. Warto dodać, że miało to miejsce zaledwie dwa dni po tym, jak z furią wykręciła nowy rekord pola 62, trafiając w piątek w australijskim Wollongong Golf Club szalone 10 birdie.

„To był naprawdę niesamowity dzień”, relacjonowała w piątek rekordzistka. „Nic nie poszło źle. Nie ominęłam żadnego fairwaya

i nie trafiłam tylko jednego greenu. Wszystko ładnie się ułożyło. W zeszłym roku miałam kilka wyników 8 poniżej par, więc wiedziałam jak sobie radzić z emocjami i nerwami. Ale tak, to zdecydowanie jedna z moich trzech najlepszych rund w historii i naprawdę nie mogę się doczekać, żeby to kontynuować. Cieszę się, że zostały jeszcze dwa dni. Uwielbiam czterodniowe turnieje. Po prostu czuję, że ludzie im są bardziej konsekwentni w swojej grze, tym lepsi. Więc tak, czekam na kolejne dwa dni”.

W lekkim stresie

Nie zawiodła się. Nie zaliczyła ani jednego bogeya w sobotę i niedzielę, kończąc tydzień z imponującym wynikiem – 17. Prowadząc jednym punktem przed ostatnią rundą, na koniec wyprzedziła Włoszkę Alessandrę Fanali i Australijkę Kirsten Rudgeley dwoma strzałami.

„Szczzerze mówiąc, nadal jestem w szoku” — powiedziała 23-latką, która tydzień wcześniej nie przeszła cuta w Coffs Harbour. „Jestem taka szczęśliwa. Bardzo ciężko na to pracowałam. Miałam trudny tydzień w zeszłym tygodniu, zmieniłam zamach i oczywiście zadziałało! Jestem po prostu bardzo szczęśliwa. Na pierwszych dziewięciu dołkach było dobrze, ale kiedy zaczęło być ciasno, trochę się zestresowałam. Ciągłe myślałam o oddechu i starałam się pozostać skupioną. W takich sytuacjach jest trudno, ale jestem bardzo szczęśliwa, że mi się udało. Aby to uczcić, spędzam noc z rodziną i przyjaciółmi w Sydney. Może napijemy

się szampana! Oni tak naprawdę nie piją, ale ja na pewno się napiję. A jutro mam lot powrotny”.

Angielka dodała swój pierwszy indywidualny tytuł LET do imponującej listy zwycięstw amatorskich – US Kids European Championship, Justin Rose Telegraph Junior Golf Championship, NCAA Division I Women's Golf Championship oraz Curtis Cup. Triumf ten przyszedł zaledwie pół roku po wygranej w LETAS - Lavaux Ladies Open, zapewniając jej prowadzenie w klasyfikacji Debiutantki Roku.

Polki na start

Ladies European Tour rozkręcił się już na dobre, w czwartek teleportując się do RPA, na Joburg Ladies Open. Tytułu bronić będzie Chiara Tamburlini, a w Modderfontein Golf Club oczywiście nie zabraknie Mimi. Również w czwartek rozpoczyna się nowy sezon LET Access Series. Tym razem swoich sił próbować będą tam aż dwie Polki. Do występującej w niższej lidze już dwa sezony Nicole Polivchak, dołącza w tym roku Dorota Zalewska, która nie utrzymała się na Ladies European Tour i teraz będzie walczyła o powrót do wyższej ligi. Obie Polki zagrają w pierwszym turnieju sezonu - Terre Blanche Ladies Open, we francuskim Golf de Terre Blanche. W sobotę i niedzielę od godziny 13.00 Joburg Ladies Open transmitować będzie Golf Zone. Rywalizację we Francji z polskimi akcentami śledzić będziemy mogli wyłącznie podglądając wyniki w internecie.

Kasia Nieciak



Nicole Polivchak w czwartek rozpocznie swój trzeci sezon na LETAS.



Po sezonie LET Dorota Zalewska zadebiutuje w LET Access Series.